

Paula Marshall

Świąteczna róża

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie! Niemożliwe. Z pewnością zaszła pomyłka. Wykluczone: przecież nie przebyła całej drogi do Yorkshire tylko po to, aby spędzić Boże Narodzenie w towarzystwie tak nielubianego przez siebie sir Milesa Heywarda, który właśnie wszedł do bawialni jej kuzynki Isabel, mieszkanki zamku Morton w północnym Yorkshire.

Znana ze spokoju i opanowania panna Rose Charlton na widok tego osobnika niemal zapomniała o dobrych manierach. Na domiar złego intruz jak zawsze doskonale nad sobą panował; nie odrywając wzroku od Rose, lekko uniósł brwi.

Spotkanie nią wstrząsnęło, lecz czy Heyward był równie poruszony jej widokiem? Ciekawe, co zrobi, by całkiem zburzyć spokój, na który liczyła w domu Isabel Morton, z dala od londyńskiego gwaru i plotek? Rose aż za dobrze pamiętała niedawną rozmowę z Isabel oraz przygnębioną minę kuzynki...

- Moja droga Rose. - Isabel westchnęła. - Powinnaś mieć świadomość, że twoja wizyta sprawia mi wielką radość, lecz aby cię zaprosić, niestety, musiałam sprzeciwić się woli męża. Jak doskonale wiesz, ostatnio w ogóle nie bywa w mieście, ma zatem niewielkie pojęcie o modzie i nowinach towarzyskich. Muszę ci z przykrością wyznać, że zaraz po tym, jak do ciebie napisałam, mój mąż otrzymał list od przyjaciela, lorda Sheffielda. Opisał on krążącą w towarzystwie plotkę na temat tej okropnej sprawy z lordem Attercliffe'em. Sądziłam, że już o tym zapomniano. Nie znam szczegółów zajścia między innymi dlatego, że zarówno twój ojciec, jak i mój zadbali o to, by sprawa nie przedostała się do publicznej wiadomości. Anthony nakazał mi wycofanie kierowanego na twoje ręce zaproszenia, ale po raz pierwszy musiałam się sprzeciwić jego woli. Ostatecznie jesteśmy spokrewnione, a wtedy byłaś jeszcze bardzo młoda. Ponadto łączyła nas przyjaźń, nasze

kontakty rozluźniły się wyłącznie przez zgon twego ojca i twój wyjazd na wieś. Wiem, że tegoroczny sezon spędziłaś w Londynie. Podejrzewam, że między innymi dlatego ktoś przypomniał tę sprawę. Z całą stanowczością zapewniłam Anthony'ego o twojej niewinności, a on niechętnie, ale przystał na twoją wizytę. Pozwól, że poruszę jeszcze jedną kwestię. Mam nadzieję, że goszcząc u nas, będziesz się sprawować nienagannie, by mój mąż nie miał powodu... cóż, chyba nie muszę kończyć.

Isabel z przykrością dostrzegła, że mimo najlepszych chęci sprawiła kuzynce wielką przykrość. Rose usiłowała nie stracić panowania nad sobą. Miała wprawę w maskowaniu uczuć, gdyż w ostatnich latach nieraz znalazła się w kłopotliwej sytuacji.

Odpowiedź sformułowała w sposób wyważony i opanowany.

- Skoro tak, ufam, że nie będziesz mi miała za złe, jeśli wyjadę jutro z samego rana - oznajmiła.

Isabel nawet nie ukrywała poruszenia.

- Ależ w żadnym wypadku, nie możesz przecież narazić mnie na nowe szyderstwa Anthony'ego. Tylko czeka, by powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Tak między nami, ostatnio zrobił się z niego niemożliwy mruk. Musisz zostać i nienagannym zachowaniem dowieść, jak bardzo się mylił.

Rose nie miała pojęcia, że Isabel jest nieszczęśliwa w małżeństwie. Sporadyczne listy, które od niej otrzymywała, sugerowały coś wręcz przeciwnego. Wynikało z nich, że małżonkowie wciąż pozostają na etapie młodzieńczego zauroczenia.

- Skoro nalegasz... - Westchnęła. - Wiedz jednak, że wołałabym wyjechać, gdyż w żadnym wypadku nie chcę stać się przyczyną twojego konfliktu z mężem. Ponadto wołałabym

nie wprawić w zakłopotanie innych gości, którzy mogli słyszeć to i owo.

- Wykluczone. Wszyscy goście to miejscowa szlachta, nie znają paskudnych plotek. Zapewniam cię, że masz okazję spędzić przemiłą Gwiazdkę z dala od londyńskiej zawiści. Wkrótce dołączy do nas Anthony. Zapomnij o kłopotach.

Nawet jeśli Rose przyszło do głowy, że nigdy nie zdoła zapomnieć o problemach, nie podzieliła się tą myślą z kuzynką. Postanowiła panować nad emocjami. Isabel zapewne miała rację. Yorkshire i Londyn dzielił dystans, i to pod wieloma względami. Nie powinna odrzucać wyciągniętej ręki kuzynki. Rose postanowiła więc odsunąć na bok troski i myśli o nieszczęśliwej przeszłości i radować się świętami.

Rankiem tego samego dnia sir Miles Heyward bez entuzjazmu posilał się w przydrożnym zajeździe. Zmierzał do zamku Morton nieopodal Yorku i zachodził w głowę, czemu postanowił spędzić Gwiazdkę w domu przyjaciela, Anthony'ego Mortona, którego nie widział od czasu ukończenia Versity, jak tradycyjnie nazywano uniwersytety Oksford i Cambridge. Wtedy obaj przybyli do Londynu i przez pewien czas szampańsko się bawili.

Niestety, ojciec Anthony'ego przedwcześnie umarł i Anthony musiał jechać na północ, by zająć się sprawami majątku. Już nigdy nie wrócił do Londynu. Wkrótce się ożenił, nosił się z zamiarem kandydowania do parlamentu, ale koniec końców zadowoliła go pozycja wiejskiego szlachcica. Tego roku napisał do Milesa list, w którym pytał o pewnego wspólnego przyjaciela i wspominał dawno minione beztroskie lata.

„Jak rozumiem, Twoja matka ponownie wyszła za mąż - pisał - i zamieszkała nieopodal Selby. Jeżeli nie wybierasz się do niej na Boże Narodzenie, może miałbyś ochotę przybyć do

zamku Morton, byśmy wspólnie pogawędzili o starych dobrych czasach. Coraz bardziej za nimi tęsknię".

Początkowo Miles odłożył list na bok, postanowiwszy w wolnej chwili uprzejmie odrzucić zaproszenie. Tuż przed świętami planował poślubić Emily Sansome i spędzić miesiąc miodowy w Brighton.

Niestety, uroczystość odwołano. Emily znalazła lepszą partię i po kłótni wywołanej nieistotnym drobiazgiem zwróciła pierścionek zaręczynowy, twierdząc, że do siebie nie pasują. Miles wielkodusznie wziął na siebie winę. W opinii publicznej to właśnie on zniszczył obiecujący związek. Wiadomość o ślubie Emily i jej nowego wybranka, markiza, ukazała się wkrótce na łamach „The Morning Post”. Ceremonię wyznaczono dwa dni po uprzednio planowanym ślubie Milesa i Emily.

Z czasem Miles doszedł do wniosku, że powinien być zadowolony, gdyż jego niedoszła żona najwyraźniej spotykała się potajemnie z nowym ukochanym jeszcze przed zaaranżowaną kłótnią. Mimo to wciąż nie potrafił pozbyć się niesmaku po całej sprawie.

Kobiety są frywolne, skonstatował ponuro. Bez wyjątku gonią za okazją i gdy tylko się nadarzy, natychmiast zapominają o wszystkim i wszystkich. W takiej sytuacji perspektywa wizyty u Anthony'ego Mortona i wyjazdu na daleką północ Anglii niespodziewanie zyskała na atrakcyjności. Z dala od Londynu Miles miał szansę uniknąć litościwych spojrzeń, które tak często ostatnio widywał.

Miejskie życie zaczynało go nużyć. Coraz bardziej żałował, że nie dysponuje wiejską posiadłością, chociaż mógł się pochwalić niezłym majątkiem i sporą kamienicą odziedziczoną po przodkach. Jako młody człowiek wstąpił do wojska i służył pod rozkazami Wellingtona podczas wojny o Półwysep Iberyjski. Pod Salamanką odniósł poważne rany,

które zagoiły się w samą porę, by Miles zdążył wziąć udział w bitwie pod Waterloo.

Potem jego służba wojskowa dobiegła końca i rozpoczął się okres bezczynności, która trapiła go coraz bardziej. Armia była jego życiem i teraz nie bardzo wiedział, co robić.

Od niedawna poważnie rozważał możliwość kupna wiejskiego domu i skrawka ziemi, z której czerpałby dochody. Postanowił pójść w ślady sir Coke'a z Norfolku i księcia Bedford, którzy samodzielnie zarządzali majątkami i nieźle na tym wychodzili. Pewien stary przyjaciel Milesa z kręgów rządowych sporządził mu listę ksiąg i dokumentów dotyczących prowadzenia gospodarstwa i zarządzania majątkiem ziemskim. Po lekturze Miles postanowił skupić uwagę na doskonaleniu zwierząt hodowlanych i roślin uprawnych. Niedawno zlecił także pośrednikowi znalezienie odpowiedniego miejsca, najlepiej na terenie środkowej Anglii lub gdzieś na południu.

Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że odejście Emily niemal na pewno miało związek z jego marzeniami o wyjeździe na wieś. Emily była typową panną z miasta, a gdy niedoszły mąż opiewał zalety życia na wsi i uroki doskonalenia płodów rolnych, wykrzywiła z pogardą usta.

Po raz pierwszy przyznał sam przed sobą, że chociaż znalazł ładną i uroczą towarzyszkę, nie takiej kobiety pragnąłby na żonę. Matka czyniła mu wyrzuty z powodu jego kawalerskiego stanu i być może właśnie dlatego poprosił Emily o rękę, zamiast dogłębniej przemyśleć tę kwestię.

Z westchnieniem odłożył sztuce. Teraz, gdy jechał do Yorku, perspektywa wspólnych świąt z ludźmi, których nie znał, wydała mu się znacznie mniej pociągająca niż dotąd. Wstał i posłał po swojego służącego, Blagga. Jeśli miał dotrzeć do celu podróży przed zmrokiem, musiał niezwłocznie ruszać w dalszą drogę. Trasa przebiegała przez niezasiedlone

rejony Anglii, pełne luddystów i biednych jak myszy kościelne zdemobilizowanych żołnierzy; teraz włóczyli się oni po wrzosowiskach, polując na przygodnych wędrowców. Nocna podróż w takich warunkach byłaby wyjątkowo ryzykowna.

Zawsze istniała możliwość, że pośród gości na zamku znajdzie się atrakcyjna młoda kobieta gotowa przychylnie potraktować mężczyznę snującego marzenia o własnym gospodarstwie. Miles uśmiechnął się rozbawiony absurdem własnych przemyśleń.

- Kobiety są frywolne - mruknął. Resztę drogi na zamek spędził na przeglądaniu dokumentów dotyczących majątków wyszukanych przez pośrednika.

Po przygnębiającej rozmowie z Isabel Rose podążyła do bawialni zamku Morton, by tam dołączyć do grupy ludzi, których widziała po raz pierwszy i którzy - sądząc z ich min - jej nie znali. Kamień spadł jej z serca. Goście z zapalem plotkowali o członkach rodzin zamieszkujących okolice Yorku i Harrogate.

Towarzystwo potraktowało Rose niezwykle uprzejmie. Została przedstawiona jako kuzynka Isabel, a przynajmniej dwie starsze damy uniosły do oczu lorniony, by uważnie obejrzeć nową znajomą.

- Rozumiem, że to pani pierwsza wizyta w Yorkshire - skomentowała jedna z dam.

- Rzeczywiście, muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie jeździłam dalej niż do Nottingham.

Nie podejrzewałam, że tutejsze okolice są tak dzikie i urokliwe.

To skądinąd zgodne z prawdą pochlebstwo przypadło zgromadzonym do gustu i wywołało ożywioną dyskusję na temat przejawów piękna w różnych odmianach krajobrazu. Rose usiadła wygodniej, zauważając pełne aprobaty spojrzenie

Isabel, która podczas mowy powitalnej Anthony'ego wyglądała na wyraźnie zaniepokojoną.

A zatem Rose mogła cieszyć się anonimowością. Usiadła i rozglądała się po pięknie urządzonej sypialni. Od wielu miesięcy nie czuła takiego zadowolenia. Cóż, jak wszystko, co dobre, tak i te przyjemne chwile musiały dobiec końca. Jedna z pań postanowiła zabłysnąć erudycją i zaczęła opowiadać o architekturze krajobrazu i prawidłowym rozmieszczeniu drzew:

- W mojej opinii należy pozostawić te sprawy przyrodzie - oznajmiła. - Powiedźcie mi, proszę, drodzy państwo, czy wiadomo coś może na temat powrotu lorda Attercliffe'a do Yorkshire? Podobno zamierza osiąść w Cliffe House?

Wzmianka o Attercliffe momentalnie zburzyła spokój Rose. Wszyscy obecni przystąpili do dyskusji o lordzie i niezliczonych skandalach z jego młodości, choć przyznali, że ostatnio niewiele się o nim słyszało.

Pewien wysoki i pewny siebie jegomość, zajmujący miejsce przy kominku i pogrążony w dyskretnej pogawędce z Anthonym Mortonem, zaśmiał się szyderczo.

- Podobno szuka żony, najlepiej ze sporym majątkiem - oznajmił głośno.

- Może i szuka - zareagowała ciemnowłosa piękność, uważnie przypatrując się Rose. - Należy jednak wątpić, czy jego poszukiwania uwieńczy sukces. Ze swej strony nie ma on bowiem nic do zaproponowania prócz fatalnej reputacji, podupadającej posiadłości i perspektywy rychłego bankructwa.

- Och, z pewnością ma do zaoferowania tytuł, który może stanowić nie lada kartę przetargową dla ambitnego obywatela marzącego o nobilitacji córki - zauważył pokaźnych gabarytów mężczyzna, którego nazwisko umknęło Rose. Nieznajomy popatrzył na nią uważnie. - O ile mnie pamięć nie

myli, panno Charlton, Anthony zauważył, że niedawno gościła pani w mieście. Co mówi się na temat lorda Attercliffe'a?

Całe towarzystwo po raz pierwszy skupiło uwagę na Rose, która bynajmniej tego nie pragnęła. Zmusiła się do melancholijnego uśmiechu.

- Nic dobrego, niestety - westchnęła. - Rzecz jasna, nie znam szczegółów z jego życia.

- To oczywiste - parsknął jegomość. - Pikantne detale nie są przeznaczone dla uszu pań. Ciekawi mnie, czy ktoś z tu obecnych byłby gotów go ugościć, a także czy lord Attercliffe miałby chęć zaprosić któreś z nas.

- O ile mi wiadomo, panie majorze, Cliffe House bardzo podupadło - wtrącił Anthony, a Rose przypomniała sobie, że major nosi nazwisko Scriven. - Od lat nie mieszkał tam żaden z Attercliffe'ów.

Kilka osób pokiwało twierdząco głowami, a Isabel zabrała głos zapewne wyłącznie po to, by uwolnić Rose od obowiązku kontynuowania rozmowy.

- Odkąd sięgam pamięcią, docierają do mnie pogłoski na temat występków Attercliffe'a - zakomunikowała. - Proponuję zakończyć tę dyskusję. - Powiodła spojrzeniem po twarzach zgromadzonych. - Kolacja będzie podana lada moment. Chyba goście już zeszli, Anthony, wszyscy z wyjątkiem twojego starego przyjaciela.

- Niedawno przybył po długiej i trudnej podróży. Zapewne dołączy do nas za chwilę. Jeśli pozwolisz, zaczekamy na niego. Ma za sobą ciężki dzień.

Ledwie skończył mówić, drzwi się otworzyły i służący oznajmił:

- Sir Miles Heyward.

Rose zamarła. Wszyscy obecni popatrzyli wyczekująco na Milesa. Każdy nieznajomy, przybywający do tutejszego zamkniętego świata, musiał budzić ogromne

zainteresowanie, gdyż ponad wszelką wątpliwość przynosił wieści z wielkiego świata.

Rose żałowała jednak, że nie może natychmiast zniknąć. Wyraźnie czuła na sobie lodowaty wzrok sir Milesa Heywarda.

Zadrżała na wspomnienie jedyne spotkanie z tym człowiekiem. Niegdyś przedstawiono ich sobie. Gdy zostali sami, sir Heyward zganił ją surowo za to, jak potraktowała jego przyjaciela. Następnie posiał jej wyjątkowo nieprzychylnie spojrzenie i się oddalił, oświadczając, że nie ma ochoty więcej jej widzieć ani tym bardziej z nią rozmawiać. Od tamtego dnia darzyła go głęboką, choć skrywaną niechęcią.

Nadzieja, że dawny skandal pozostanie tajemnicą, okazała się płonna. Ze wszystkich poznanych przez nią w Londynie osób właśnie Miles Heyward był najbardziej skłonny poinformować gości o jej nadszarpniętej reputacji.

I co się wówczas stanie?

Z całą pewnością będzie musiała ponownie wyruszyć w podróż, w nadziei, że dotrze do innego miejsca, w którym niegodna przeszłość panny Rose Charlton pozostanie tajemnicą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rose dostrzegła, że jej obecność zaskoczyła Milesa. Panna Charlton była ostatnią osobą, jakiej się spodziewał w zamku Morton.

Pomyślał ponuro, że Rose wcale nie wygląda na oszustkę ani na hipokrytkę, którą w istocie jest. Do tego ubrała się jak niewiniątko: włożyła prostą suknię z jasnoniebieskiego i białego muślinu, z jedwabnymi aplikacjami w formie drobnych konwalii na dekolcie i biodrach. Nie założyła żadnej biżuterii oprócz perły na cienkim łańcuszku, otaczającym jej łabędzią szyję.

Jak zwykle dobrała strój tak, by podkreślić klasyczne piękno swych rysów. Złociste loki okalały twarz o dużych, błękitnych oczach, porcelanowej cerze oraz słodko wydętych ustach. Rzeczywiście bardziej przypominała anioła niż wiedźmę.

Miles musiał przyznać sam przed sobą, że przy każdym spotkaniu na widok Rose traci zdolność trzeźwej oceny sytuacji i marzy tylko o tym, że chciałby wziąć pannę Charlton w ramiona. W jego objęciach wiłaby się z rozkoszy, to pewne. Na samą myśl o tym ogarnęło go podniecenie.

Czy Anthony zdawał sobie sprawę z tego, jaką reputacją cieszy się ta panna? Czy miała ona prawo zasiadać w gronie członków rodziny i przyjaciół gospodarza? To chłodne i spokojne spojrzenie, które utkwiała w Milesie, było równie sztuczne i nieszczerze, jak ona sama.

Miles znał krążące po Londynie plotki, a także doskonale pamiętał słowa swojego przyjaciela, Olivera Fentona, który zetknął się z panną Charlton i do tej pory tego żałował. Niegodziwie mamiła go złudnymi nadziejami, a następnie upokorzyła, odrzucając uczciwą propozycję małżeństwa. Niedoszły narzeczonny dopiero po fakcie usłyszał o jej zszarganej reputacji.

- Złamała mi serce - wyznał później. - Do diabła z kobietami, do diabła z nimi wszystkimi! - zakończył smętnie. Miles nie mógł się z nim nie zgodzić, zważywszy na dramatyczne zakończenie związku z Emily.

Tak czy owak, chwilowo zamierzał milczeć. Poczekał, aż Anthony przedstawi go towarzystwu, wymienił z gośćmi ukłony oraz życzliwe uśmiechy, aż wreszcie dotarł do Rose. Zatrzymał się przed nią, położył dłoń na ramieniu przyjaciela i oświadczył ze zdawkowym skinieniem głowy:

- Raczej nie zachodzi potrzeba przedstawiania nas sobie. Znamy się, prawda, droga pani? Już się kiedyś spotkaliśmy.

Rose uprzejmie odwzajemniła ukłon, nie tracąc zimnej krwi. Nie mogła dać po sobie poznać, że umiera ze strachu.

- Rzeczywiście - przyznała. - Widzieliśmy się już, lecz tylko przelotnie, o ile mnie pamięć nie myli.

- Owszem. Mój pobyt w zamku Morton być może pozwoli nam zacieśnić tę znajomość. Nasze poprzednie spotkanie dobiegło końca, nim zdążyliśmy poruszyć wiele interesujących kwestii, zgodzi się pani?

Mówił to wszystko z enigmatycznym uśmiechem. Rose była coraz bardziej zdenerwowana. Jak on śmiał przemawiać do niej tak poufale, a potem spoglądać z drwiną w oczach i pogardliwym uśmieszkiem? Dobrze, że przynajmniej nie wydał jej od razu. Do pewnego stopnia wydawało się to korzystne, lecz musiała wziąć pod uwagę, że w takich okolicznościach będzie zawieszona w swoistej próżni, na każdym kroku zagrożona zdemaskowaniem

Być może czekał tylko na sposobność, by dyskretnie poinformować Anthony'ego Mortona o tym, kogo ten gości w swych progach, zamiast urządzać awanturę.

Nagle rozległ się dzwonek na kolację. Najgorsze miało nadejść po chwili - Rose została wprowadzona do jadalni

przez majora Scrivena, który zajął miejsce u jej boku. Krzesło z drugiej strony przypadło Milesowi Heywardowi.

- A zatem już wcześniej została pani przedstawiona sir Milesowi? - zapytał z miejsca major.

- Poniekąd - przyznała możliwie cicho Rose, ale na próżno ściszała głos, gdyż Miles doskonale, ją słyszał.

- Panno Charlton, niech pani nie będzie taka skromna. Znamy się całkiem nieźle, prawda?

Rose musiała szybko znaleźć odpowiedź, licząc na to, że major Scriven nie wyczuł kpiny w głosie Milesa.

- Nie tak bym określiła stopień naszej zażyłości, biorąc pod uwagę, że poprzednie spotkanie trwało bardzo krótko - odparła chłodno.

- Owszem, było krótkie, lecz niewątpliwie treściwe. Zgodzi się pani?

- Nie powiedziałabym, sir Milesie.

- A co by pani powiedziała?

Żebyś poszedł do diabła, przemknęło jej przez głowę, zmusiła się jednak do uśmiechu.

- Powiedziałabym, że cieszę się, widząc pana w Yorkshire, u tak interesującej rodziny i w tak ciekawym miejscu. Moja kuzynka Isabel poinformowała mnie, że każde pokolenie Mortonów ma zwyczaj dobudowywać nowe elementy posiadłości. Zwyczaj zapoczątkowano w tysiąc dwieście siedemdziesiątym drugim roku, kiedy na gruzach starego prymitywnego zamku powstał nowy, znacznie solidniejszy. Sala główna, w której obecnie zasiadamy, liczy sobie ponad cztery stulecia.

Rose była przekonana, że wywód ten uciszy sir Milesa, i rzeczywiście, nie pomyliła się. Miles pożałował dwuznacznych uwag, które łatwo mogły obrócić się przeciwko niemu, a w dodatku zrozumiałych wyłącznie dla

Rose. Postanowił dla odmiany powiedzieć coś całkowicie jednoznacznego.

- Zamek przypadł mi do gustu, gdyż całkowicie różni się od mojego domu, który jest stosunkowo nowy i zbudowany w stylu Andrei Palladio. Budowę rozpoczęto na polecenie mojego dziadka, na przedmieściach Londynu. Tutejsza sala główna wywarła na mnie wielkie wrażenie.

Czyżby ta uwaga była zawołaną propozycją zawieszenia broni? A może Miles Heyward miał dość nieudanych prób wytrącenia Rose z równowagi? Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, jednocześnie słuchając pytania majora Scrivena, który koniecznie chciał wiedzieć, czy już wcześniej spędzała święta w Yorkshire. Najwyraźniej zapomniał, że Rose wyjaśniła zebranym, iż to jej pierwsza wizyta w tych stronach.

- W ostatnich latach święta spędzałam samotnie - wyznała. - Teraz mam nadzieję cieszyć się rodzinną atmosferą. Rozumiem, że jest pan kuzynem państwa Mortonów?

- Zgadza się. Zważywszy, że pani jest kuzynką Isabel, dziwię się i żałuję, iż dotąd nie mieliśmy okazji się poznać.

Obrzucił ją spojrzeniem pełnym podziwu, który speszył Rose. Poczula się niezręcznie, gdyż już wcześniej powiedziano jej, że ciemnowłosa piękność, która nie odrywała od niej wzroku, to pani majorowa Scriven. Czyżby wyczuwała w Rose rywalkę? Zupełnie bez potrzeby. Rose nie zamierzała w żaden sposób zachęcać jej małżonka do flirtu. Traktowała go z dystansem od chwili, gdy przemówił do niej po raz pierwszy. Doskonale знаła ten typ mężczyzn: ponad wszelką wątpliwość major sądził, że kobiety powinny uważać go za dar od Boga.

Już po kilku minutach wysłuchiwania obłudnych komplementów Rose uznała, że woli raczej otwartą niechęć

Milesa Heywarda niż fałszywe pochlebstwa majora. I do tego major me był tak przystojny jak sir Heyward.

Miles nie przypominał posągów greckich bogów, ustawionych we wnękach zamku Mortonów. Kojarzył się raczej z mrocznymi wojownikami z późnorenesansowych obrazów, wypełniających długą galerię, którą Rose mijała w drodze do sypialni. Przez swoje wyraziste rysy sprawiał wrażenie człowieka gotowego na wszystko. Miał krótkie włosy, szare oczy o przenikliwym spojrzeniu i posturę sportowca. Ponadto w przeciwieństwie do majora doskonale nad sobą panował. Nosił ciemny strój na wzór eleganckiego Beau Brummella, a nie proste i niemodne odzienie z początku wieku jak major.

Rose natychmiast przywołała się do porządku. Dlaczego siedzi i rozmyśla o mężczyźnie, który z pewnością jest przekonany o jej fatalnym prowadzeniu się?

Zerknęła z ukosa na Milesa. Nieznacznie odwrócił głowę, prezentując surowy profil. Rose zadała sobie pytanie, czemu tak bardzo interesuje się właśnie tym mężczyzną, i na dodatek porównuje go z innymi panami. Ostatecznie w pokoju ich nie brakowało. Rozsądek nakazywał, by skupiła uwagę właśnie na nich; wielu pozostawało w stanie kawalerskim, no i żaden nie próbował jej urazić wprost czy też w zawoalowany sposób. Miles czynił to bez przerwy.

Rose zadrzała. W żadnym wypadku nie mogła dopuścić do siebie myśli, że ten mężczyzna jej się podoba. Przeszył ją dreszcz. Musiała zwrócić na siebie uwagę Milesa, gdyż spojrzał na nią i spytał:

- Panno Charlton, czyżby pani marzła? Sala jest obszerna, a my siedzimy z dala od ognia. Czy kazać! służbie przynieść szal?

- Nie, nie - odparła z roztargnieniem. Ostatnie,, czego pragnęła, to doprowadzić do sytuacji, w której zacznie

wyświadczać jej uprzejmości. - Nie jest mi zimno. Naprawdę, ani trochę - zaprzeczyła.

Nie kłamała, choć ogrzewał ją wewnętrzny żar, nie ten z kominka. Jej ciało mówiło jedno, umysł drugie. Miles jednak sądził, że bladość i dreszcze Rose świadczą o złym samopoczuciu. Delikatnie dotknął dużą smagłą dłoń jej drobnej, białej ręki.

- Pani naprawdę zmarzła, panno Charlton. Musimy coś na to poradzić. Proszę mi pozwolić...

Odsunął się i przywołał lokaja, który stał przy drzwiach, gotowy do pomocy.

- Młody człowieku, znajdź szybko pokojówkę panny Charlton i powtórz jej, by przyniosła swojej pani szal.

- Dobrze, proszę pana.

- To nie jest konieczne - odezwała się słabym głosem Rose.

Dostrzegła wykrzywioną twarz pani majorowej Scriven i mogła sobie tylko wyobrazić, co takiego dama szepcze swojej sąsiadce. Major już pochylał się nad Rose.

- Wystarczyło mi powiedzieć, że pani zimno - szepnęła poufale. - Nie skojarzyłem parli bladości z chłodem.

- Naprawdę, jest mi całkiem ciepło - zaprotestowała Rose nieco desperacko, gdyż obawiała się, że całe towarzystwo uważnie ją teraz obserwuje. - Nie chciałam robić zamieszania.

Ku własnemu zdumieniu Miles poczuł, że ma ochotę służyć pomocą kobiecie, której jeszcze przed chwilą pragnął okazywać jedynie dezaprobatę.

- Wygląda pani jak śnieżnobiała świąteczna róża. Proszę spojrzeć, oto lokaj z szalem. Mam nadzieję, że jest ciepły.

Zrezygnowana Rose przyjęła szal i zarzuciła go na ramiona,

- Cudownie ciepły - szepnęła, usiłując zakończyć dyskusję. - Jestem przekonana, że lada moment nabiorę uroczych rumieńców. Czy świąteczne róże bywają różowe?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Z tego co wiem, w ogóle nie istnieje nic takiego jak świąteczna róża. To potoczna nazwa zupełnie innej rośliny, ciemiernika białego.

Teraz, kiedy biesiadnicy przestali na nich zwracać uwagę, Rose nieco się odprężyła.

- Przed chwilą wyglądała pani uroczo - oświadczył major.
- Obecnie jednak prezentuje się pani wprost rozkosznie. Żałuję, że wcześniej nie zadbałem o pani komfort, teraz mógłbym cieszyć się pani względami i liczyć na miano rycerza pięknej damy.

Ta absurdalna przemowa rozbawiła Rose.

- Och, doprawdy, sir Miles nie dokonał niezwykłego czynu, gdy tak uprzejmie posłał lokaja po szal dla mnie. Kuzynka Isabel utrzymuje, że ten zamek jest nawiedzany przez ducha, zwykle w porze Bożego Narodzenia, wątpię jednak, by pojawił się w sali głównej podczas naszej kolacji.

- Każde stare zamczysko winno dysponować duchem wyłaniającym się z mrocznych piwnic.

W najmniej dogodnych chwilach - przytaknął Miles. - Jeśli zaś chodzi o mnie, nie mogę nazwać się rycerzem panny Charlton, prawdziwy rycerz bowiem dysponowałby koniem. Nawet gdybym go miał, zwierzę takich gabarytów mogłoby nam nieco przeszkodzić w ucztowaniu.

Miles nie zamierzał okazywać sympatii pannie Charlton, więc postanowił jej unikać, by przypadkiem nie wpaść w jej sidła. Czyżby drżała dlatego, żeby zwrócić na siebie jego uwagę? Nie, z pewnością nie była aż tak podstępna. Przecież nawet najbardziej wytrawna uwodzicielka ma prawo zmarznąć, a on, jako dżentelmen, nie mógł do tego dopuścić.

Podobnie jak Rose, zaczął odczuwać niepożądane zainteresowanie osobą, którą uważał - co tu ukrywać - za wroga. Z przyjemnością skonstatował, że jego żarty o rycerzu na koniu w sali głównej przywołały uśmiech na twarz Rose. Coraz bardziej męczyło go towarzystwo majora, jego natrętne komplementy prawione Rose i nieudolne żarty.

Kolacja wkrótce dobiegła końca. Isabel wyprowadziła damy, a major postanowił lepiej poznać Milesa, którego uważał za ignoranta i cywila skrycie zazdrosnego o wojskowych.

Okazja do wykazania się znajomością tematu nadeszła w chwili, gdy jeden z gości napomknął o bitwie pod Waterloo i skrytykował księcia Wellingtona za niemożność pokonania Napoleona przed przybyciem Bluchera i pruskiej armii.

- Co prawda, to prawda - potwierdził major, pociągając łyk wina z piwnicy Anthony'ego Mortona. - Należy się zastanowić, czy Wellington tak samo dobrze dowodził swoimi wojskami w starciu z Napoleonem, jak w Hiszpanii, kiedy nie musiał stawić mu czoła.

Miles pochylił się z uwagą.

- Rozumiem, że był pan pod Waterloo? - spytał z wyszukaną uprzejmością.

Major odkaszlnął.

- Niezupełnie podczas bitwy - odparł z wyniosłą miną. - Niemniej pełniłem ważne obowiązki poza linią frontu, w Brukseli.

- Ach, rozumiem. - Miles uśmiechnął się uprzejmie. Przypominał sobie służbę pod bezpośrednimi rozkazami księcia. Szczęśliwie wyszedł z niej cało, w przeciwieństwie do wielu swych przyjaciół. - Szczerze dziękuję panu za wnikliwą analizę, zwłaszcza że miał pan okazję przeprowadzić ją szczególnie obiektywnie, bo z oddali. Można jeszcze zadać sobie pytanie, co by się stało, gdyby linie księcia nie

wytrzymały, a Prusacy musieli stoczyć bitwę samodzielnie, przeciwstawiając się generałowi, który rozgromił ich już kilka razy wcześniej. Skoro był pan na tyłach, być może trudno panu wyobrazić sobie przebieg batalii i jej znaczenie.

Uśmiech Milesa był coraz szerszy, lecz major nie zamierzał składać broni.

- Mimo wszystko, drogi panie, i tak przebywałem znacznie bliżej miejsca zdarzeń niż taki cywil jak pan, w związku z czym z pewnością lepiej rozumiem ich sens i konsekwencje, ot co - wycedził.

- Naturalnie, panie majorze. Pozwolę sobie jednak zmienić nieco temat i poprosić o udostępnienie nam tej butelki porto, która najwyraźniej utknęła po pańskiej stronie stołu.

Anthony Morton doskonale zdawał sobie sprawę z osiągnięć Milesa, który służył w stopniu podpułkownika, choć nigdy się tym nie chwalił. Słyszając słowa majora, gospodarz zachnął się i już miał go poinformować, z kim rozmawia, kiedy wyczuł na sobie ostrzegawcze spojrzenie Milesa. Znał je, toteż ugryzł się w język i oznajmił tylko:

- Tak jest, proszę podać porto, panie majorze. To dobra myśl.

Miles był zadowolony, że utarł nosa pyszałkowi, z czego ten ostatni nie zdawał sobie sprawy. W dobrym humorze wraz z resztą mężczyzn dołączył do pań. Rose ze zdumieniem zauważyła, że cieszy ją przybycie dżentelmenów, nawet Milesa. Pogaduszki dam niezmiernie ją nużyły, zwłaszcza że obracały się wokół miejscowych spraw.

Pogodę ducha Rose burzył tylko major, wyraźnie wstawiony. Oszołomiony nadmiarem trunków opadł na fotel naprzeciwko Rose i natychmiast zaczął snuć przydługą historię o tym, jak to rzekomo osobiście usiłował służyć radą Wellingtonowi w przeddzień Waterloo, prezentując mu garść wskazówek dotyczących skutecznego dowodzenia.

- Rzecz jasna, moje sugestie zostały zignorowane, przez co niemal zaprzepaściliśmy szansę na zwycięstwo. I cóż pani na to?

Nic, chciała powiedzieć Rose, lecz w porę ugryzła się w język.

- Och, widzę, że piękna pani milczy... Wystarczy się zastanowić. Gdyby Wellington mnie posłuchał, nie potrzebowalibyśmy pomocy Prusaków, którzy wyciągnęli nas z tarapatów. Kwestia warta rozważenia, prawda?

Bynajmniej, pomyślała Rose. Nie była specjalistką od wojskowości, lecz pojęła, że po wielu kieliszkach major opowiada niestworzone historie. Na szczęście nie musiała wymyślać żadnych uprzejmych wymówek, by zakończyć nudną rozmowę, bowiem Miles Heyward postanowił przyjść jej z pomocą.

- Nadal toczy pan boje pod Waterloo? - spytał.

- Niezbyt ciekawy temat. Przypuszczam, że dama wolałaby pogawędzić o czym innym.

- Wy, cywile, o niczym nie macie pojęcia - obruszył się major. - Nie zdajecie sobie sprawy, z jakim poświęceniem walczyliśmy w ostatnich wojnach.

Rose nie mogła już dłużej wytrzymać.

- Panie majorze, niespecjalnie pan się poświęcał, skoro siedzi pan tutaj z nami, i to zdrów jak ryba - wypaliła.

Kilkoro innych gości, znużonych wywodami majora, nie potrafiło opanować śmiechu. W gronie rozbawionych znalazł się Miles. Doszedł do wniosku, że panna Charlton jest bez wątpienia rezolutna i w pełni zasługuje na podziw.

Major uświadomił sobie, że nie ma śmiałości odpowiedzieć damie w taki sposób, w jaki zwróciłby się do mężczyzny. Ocaliła go żona, mimowolny świadek jego ostatniej klęski. Wstała i ze słodkim uśmiechem podeszła bliżej.

- Mój drogi, myślę, że powinieneś udać się na spoczynek. Twoje dokonania w niedawno toczonych wojnach stały się przyczyną coraz częściej trapiących cię migren, zwłaszcza w tak męczące dni jak dzisiaj, kiedy musiałeś jechać z Selby.

W takiej sytuacji major musiał wstać. Wymamrotał pod nosem coś, co zrozumiała wyłącznie jego żona; najwyraźniej narzekał na trudy i znoje podróży. Miles odsunął krzesło.

- Cóż, panno Charlton, ma pani ostry język. Major najwyraźniej pani nie dorównuje.

Sukces w rozmowie z majorem uwolnił Rose od niepokoju, który odczuwała od czasu pojawienia się Milesa w zamku Morton.

- Proszę nie drwić ze mnie, sir Milesie. Miałam dość umizgów majora. Nie muszę teraz wysłuchiwać pańskich pochlebstw, które, sądząc z naszych dotychczasowych relacji, są z gruntu nieszczerze.

- Znakomicie. - Miles się uśmiechnął, coraz bardziej rozbawiony. - Widzę, że nie doceniłem pani podczas naszego pierwszego spotkania. Komplement jest uzasadniony i na miejscu.

Rose ledwie wierzyła własnym uszom. Rozpromieniony Miles zupełnie nie przypominał surowego mężczyzny, którego zapamiętała.

- Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, lecz był pan żołnierzem, czyż nie? Walczył pan pod Waterloo. Zapewne podobnie jak major, z pewnością może pan poszczycić się swoimi dokonaniem.

- Och, przesada, panno Charlton. Powiedzmy, że nie do końca jest pani w błędzie, ale też nie dotknęła pani istoty rzeczy.

- Doprawdy, sir Milesie, nigdy nie ośmieliłabym się dotykać tej istoty.

A to dopiero! Coraz lepiej. Panna Charlton bez wątpienia mogła się poszczycić żywym umysłem, a w dodatku potrafiła skutecznie zwrócić słowa mężczyzny przeciwko niemu, by go pogrzyć lub podbić. Pytanie, czego teraz pragnęła? Miles postanowił to sprawdzić.

- Panno Charlton, niewiele brakowało, bym opowiedział mojemu przyjacielowi, Anthony'emu Mortonowi, o skandalu wywołanym pani postępkami. Śmietanka towarzyska Londynu nie mówi o niczym innym. Przyznam, że miałem swoje powody, by panią pogrzyć. Jednak wpadłem na lepszy pomysł. Zgodzi się pani, że towarzystwo tutaj nie należy do najbardziej zajmujących, dlatego stoczenie z panią pojedynku, ze świadomością tego, co o pani wiem, sprawi mi większą przyjemność niż odwracanie się od pani z odrazą. A jeśli na koniec obdarzy mnie pani względami, jak wcześniej innych dżentelmenów, cóż, to dopiero będzie dla mnie nagroda, prawda?

Podobnie jak w wypadku majora Scrivena, Rose miała ochotę powiedzieć Milesowi parę słów do słuchu - jak mawiała jej niania - lecz nie mogła tego uczynić tutaj, publicznie, w domu kuzynki Izabeli. Przez chwilę walczyła z narastającą wściekłością, nie odrywając oczu od drwiącej miny Milesa.

Nadeszło Boże Narodzenie, czas zamieszania, kiedy wszystko przewracało się do góry nogami. Król stawał się sługą, sługa królem. Dlaczego nie miałyby udawać kurtyzany, za jaką niewątpliwie uważał ją Miles? Przecież to jej nie odbierze cnoty.

Czyż nie byłby to wyborny żart, gdyby zemściła na nim, rozkochując go w sobie? A okrutny dowcip polegałby na tym, że i tak nie obdarzyłaby go swoimi względami. Cóż to za okropne sformułowanie, sugerujące, że w ostatecznym rozrachunku mogłaby zostać jego kochanką.

Nigdy nie była kochanką Attercliffe'a. Postanowiła pozostać panną i dziewicą aż do końca swych dni. Rodzaj męski nie był jej do niczego potrzebny: co najwyżej mogła się zabawić kosztem mężczyzny.

Wobec tego uśmiechnęła się i oznajmiła:

- Ależ to wyborny pomysł, sir Milesie. W ten sposób mamy szansę oszczędzić zażenowania naszym gospodarzom i sobie, a przy tym nikomu nie stanie się krzywda. Spędzimy Boże Narodzenie w pokoju, a potem rozstaniemy się bez problemów.

Nawet jeśli Milesa zdumiała szybka kapitulacja Rose, niczego nie dał po sobie poznać. Od razu uznał, że to podstęp, sztuczka uwodzicielki, ale nie zamierzał psuć sobie świątecznej zabawy. Gdy przyjdzie pora wyjazdu... Cóż, wówczas rozstaną się, tak jak zadeklarowała, by nigdy więcej się nie spotkać. Panna Charlton może potem nabierać innych naiwnych głupców, on poszuka sobie uczciwej kobiety. No, a gdyby udało mu się zaciągnąć tę zuchwałą dziewczynę do łóżka... Tak, potraktowałby to jako premię.

- Wyśmienicie - zdecydował z szerokim uśmiechem. - Widzę, że jest pani bardzo rozsądną kobietą.

Rose skinęła głową zza wachlarza. Dostrzegła podążającą w ich stronę Isabel, a nie chciała w żaden sposób niepokoić kuzynki.

- Przepraszam, że przerywam tę miłą pogawędkę - oznajmiła gospodyni. Podeszła do nich wyłącznie na prośbę Anthony'ego, który pragnął, by jego małżonka nie spuszczała oka z Rose. - Wiem jednak, że Rose jest nie tylko fantastyczną pianistką, ale też wyborną śpiewaczką. Zastanawiałam się, czy nie zechciałaby przed nami wystąpić.

- Skoro sobie tego życzysz... - Rose skinęła głową, chociaż nie miała ochoty na publiczne występy.

- Wyśmienicie! - zawołała Isabel - Ten fortepian należy do najlepszych w Broadwood - poinformowała kuzynkę, prowadząc ją do instrumentu. - To prezent ślubny od bogatego kuzyna Anthony'ego. Musieliśmy go tylko nastroić. Och, co za gapa ze mnie, nie spytałam cię, czy przywiozłaś ze sobą nuty.

- Niestety, nie - wyjaśniła Rose, odwzajemniając nieco nieszczerzy uśmiech kuzynki. - Nie potrzebuję ich jednak, by zagrać to, co planuję. Zamierzam zaprezentować stare piosenki ludowe oraz popularne arie. Nie jestem przygotowana do odgrywania poważniejszego repertuaru.

- Zawsze wiedziałam, że nie brak ci bystrości - pochwaliła ją Isabel. - A teraz pozwólcie, że się oddalę.

Fortepian miał wspaniałe brzmienie. Rose wzięła kilka akordów, by rozluźnić palce. Cóż takiego mogła zaproponować zebranym? Może powinna rozproszyć uwagę Milesa Heywarda prowokacyjną przyśpiewką ludową „O nie, Johnie”? A może warto byłoby się opanować i zagrać coś neutralnego, a następnie sentymentalny utwór? Tak, to znacznie lepszy pomysł.

Z początku niezwykle subtelnie, a potem coraz głośniej zaśpiewała „Ostrokrzew i bluszcz”, przekonana, że przez kilka najbliższych dni sala główna będzie udekorowana tymi roślinami, podobnie jak kościół, do którego wybierali się nazajutrz. Z przyjemnością skonstatowała, że część gości zamilkła, poświęcając jej całą uwagę. Pod koniec utworu już wszyscy bez wyjątku wsłuchiwali się w pięknie interpretowane utwory.

Wcale jej to nie dziwiło. Miała czysty głos, a jej nauczyciel powiedział dziadkowi, że gdyby nie była szlachetnie urodzona, zachęcałby ją do kariery śpiewaczki. Gdy utwór dobiegł końca, Anthony Morton entuzjastycznie zaklaskał.

- Doskonale, kuzynko Rose. Czy zechcesz zaśpiewać coś jeszcze?

Tym samym gospodarz zamku przemówił do panny Charlton po raz pierwszy od jej przybycia. Zadowolona Rose chętnie przychyliła się do prośby, racząc towarzystwo wzruszającą piosenką Toma Moore'a „Ostatnia letnia róża”, zaprezentowaną z całym należnym utworowi przejęciem.

Gdy przebrzmiały końcowe nuty, w pokoju wciąż panowała cisza, będąca wyrazem szacunku dla wysokiej jakości wykonania. Rose już nabierała przekonania, że słuchacze pozwolą jej odejść od instrumentu, lecz Miles Heyward nie zamierzał do tego dopuścić.

- Wyśmienicie, panno Charlton, lecz czy możemy liczyć na jakiś żywszy utwór? - zapytał.

W gruncie rzeczy była zadowolona z takiego obrotu sprawy; jej psotna dusza tylko wyczekiwała podobnej sposobności. Rose uniosła głowę i uśmiechnęła się radośnie.

- Ależ naturalnie. Może to będzie odpowiednie? - spytała i kpiarskim tonem zaczęła śpiewać „O nie, Johnie”.

Utwór, zupełnie inny niż poprzednia podniosła pieśń, opowiadał o młodym mężczyźnie, który smali cholewki do uroczej panny. W piosence wielokrotnie odzywał się chór, w imieniu adorowanej donośnie i energicznie dając kosza absztyfikantowi: „O nie, Johnie, nie, Johnie, nie!”.

O tak, było to prawdziwie brawurowe wykonanie, i Rose doskonale dobrała utwory, gdyż pozwoliły jej one zaprezentować możliwości głosowe i umiejętność gry na fortepianie. Co więcej, już po pierwszym wersie towarzystwo śpiewało wraz z nią, a po zakończeniu utworu rozległy się głośnie brawa.

Miles Heyward wiódł prym wśród wielbicieli talentu panny Charlton.

- Brawo! - krzyczał ile sił w płucach. W przeciwieństwie do panów, zgromadzone damy zachowały znacznie większy umiar w pochwałach; szaleństwa swoich towarzyszy jak zwykle wytłumaczyły nadmiarem alkoholu po kolacji. Tak więc dzięki Rose napuszona i dość nudna uroczystość wyraźnie nabrała rumieńców.

- Jeszcze, jeszcze! - skandował pewien pulchny i czerwony na obliczu jegomość, ale Rose wstała, złożyła ukłon i poczekała, aż publiczność nieco ucichnie.

- Proszę mi wybaczyć - oświadczyła. - Jak na • jeden wieczór chyba już wystarczy.

Isabel, tym razem uśmiechnięta całkiem szczerze, podeszła do kuzynki i odprowadziła ją do Milesa.

- Nie miałam pojęcia, że tak świetnie grasz i śpiewasz - oświadczyła. - I do tego bez nut. Gdzie się tego nauczyłaś?

- Miałam włoskiego nauczyciela śpiewu, który doskonale znał swój fach. - Rose usiłowała mówić cicho, niemniej jej słowa dotarły do uszu Milesa. Tym razem i on uśmiechnął się absolutnie szczerze, bez cienia kpiny lub szyderstwa.

- Droga panno Charlton — zaczął, świadom, że inni patrzą na nią z zaciekawieniem. Skoro zawarli rozejm, nie mógł wprowadzić jej w zakłopotanie. - Dostrzegam w pani wiele przeróżnych talentów. Nigdy bym nie przypuszczał, że potrafi pani grać i śpiewać tak wyśmienicie, iż nie powstydziliby się tego niejedna zawodowa artystka.

- Dajmy spokój pustym pochlebstwom - odparła Rose. - Opanowałam pewne umiejętności i nic więcej.

Miles pokręcił głową.

- Nie mogę się z tym zgodzić, ale też jestem daleki od wszczynania sporów. Czyżby ostatnia piosenka była dedykowana mnie?

Na szczęście nim padło to pytanie, Isabel gdzieś zniknęła, a towarzystwo skupiło uwagę na innych sprawach. Gdy Rose odeszła od fortepianu, stoły ustawiono do partyjki wista.

- Oczywiście, sir Milesie - przytaknęła szczerze. - Wszak prosił pan o żywszy utwór?

- A jakże, prosiłem, a pani posłusznie spełniła moje życzenie. To dobry początek naszego rozejmu, czyż nie?

- Początek i koniec - prychnęła Rose i zerknęła na zegarek, który nosiła w torebce. - Zechce pan mi wybaczyć, ale pora udać się na spoczynek. Ostatnie dni były dla mnie ogromnie wyczerpujące.

- Naturalnie. - Miles wstał. - Czy rankiem planuje pani wyjście do kościoła? Jeśli tak, to czy mogę ubiegać się o przywilej odprowadzenia pani?

Rose nie była pewna, czy odpowiada jej to nadskakiwanie, lecz uznała, że najlepiej będzie przystać na propozycję Milesa.

- Oczywiście - potwierdziła. - Spotkamy się na śniadaniu.

Z tymi słowy skłoniła się kuzynostwu i wyszła.

Po drodze do pokoju zastanawiała się, czy na pewno postąpiła słusznie, zawierając z Milesem Heywardem niedorzeczną umowę, z której niekoniecznie musiała wyjść obronną ręką.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rose wyjrzała przez okno sypialni, by skonstatować, że niedziela będzie pogodna i słoneczna. Poprzedniego wieczoru Isabel uprzedziła gości, że choć domorośli meteorolodzy z okolicznych wsi zapowiadali śnieg na Boże Narodzenie, nic nie wskazywało na możliwość opadów. Słońce pięknie świeciło, drogi były suche, i kto chciał, mógł pójść do kościoła piechotą.

Kiedy Rose weszła do jadalni, dostrzegła w niej wyłącznie Milesa, który nakładał na talerz jedzenie, oraz lokaja. Heyward uśmiechnął się na widok Rose.

- Jesteśmy sami? - spytała zaskoczona.

- Podejrzewam, że państwo Mortonowie posilają się we własnym pokoju. Pani majorowa Scriven wychodziła, gdy przyszedłem. Wyjaśniła mi, że pan major nie najlepiej się dziś miewa i dlatego nie wybiera się do kościoła, a to oznaczało, że musiałem zaproponować, iż dotrzymam jej towarzystwa.

Rose nie wiedziała, czy to powód do radości, czy do smutku.

- Przystała na tę propozycję?

- Z ochotą, nawet kiedy wyjawilem, iż będę szedł pieszo, bo kościół znajduje się nieopodal zamku. Sądzę, że niegdyś była to jedna budowla rozdzielona we wczesnym średniowieczu. - Uśmiechnął się z lekkim smutkiem. - Pani majorowa wyraźnie oczekiwała ode mnie propozycji, toteż jako dżentelmen musiałem okazać jej względy.

- Znowu względy? - nie wytrzymała Rose. - Wczoraj wieczorem napomknął pan, że chciałby, abym obdarzyła go swoimi względami, czy dobrze zapamiętałam? A teraz okazuje pan względy prawie obcej damie.

Mylła się jednak, sądząc, że wprawi go w zakłopotanie. Miles z dezaprobatą pokręcił głową i z talerzem podążył do stołu.

- Oj, panno Charlton, doskonale pani wie, co powiedziałem pani majorowej. Dwuznaczne sugestie są tu wyjątkowo nie na miejscu, zwłaszcza że idziemy do kościoła.

Rose powinna była się domyślić, że zapędzenie Milesa Heywarda w kozi róg to nie lada wyzwanie. Bez wątpienia nie brakowało mu pewności siebie.

- Ach, sir Milesie, najwyraźniej źle mnie pan zrozumiał - powiedziała, nieco speszona, i zajęła miejsce przy stole.

- Nie sędzę, panno Charlton. A właśnie, nie uważa pani, że moglibyśmy wyjść choć trochę poza sztywne ramy, w których tkwimy, i zwracać się do siebie po imieniu? Chyba nadeszła pora zrezygnować z tych oficjalnych tytułów.

- Tylko pan tak uważa, sir Milesie. Ja nie. Nasza znajomość nie trwa dostatecznie długo, by porzucić formalności.

Miles nadział na widelec spory kawał cynadry.

- A jakież to zasady obowiązują przy rozluźnianiu sztywnych zasad w naszych relacjach, Rose, to jest panno Charlton? - spytał z niewinną miną i uniesionymi brwiami. - Czy dwutygodniowy pobyt w zaniku Morton da nam prawo zwracania się do siebie po imieniu? Ile czasu trzeba, by nawiązać bliższe stosunki?

Cóż można odpowiedzieć na tak postawione pytanie? Chyba najlepiej byłoby zbyć je milczeniem, lecz Rose intuicyjnie nie chciała dopuścić do tego, aby Miles miał ostatnie słowo. Tym razem trafił na godną siebie przeciwniczkę.

- Doprawdy, nie mam pojęcia, sir Milesie. O ile mi wiadomo, nie istnieje żaden kodeks etykiety, regulujący tego typu zagadnienia.

- Wobec tego proponuję, byśmy razem coś uradzili. Dobra myśl, panno Charlton?

Coraz lepiej się bawił. Droczenie się z Rose Charlton sprawiało mu większą satysfakcję, niż przypuszczał.

Cóż to za rezolutna młoda kobieta. Szkoda, że nie grzeszyła cnotą. Gdyby była i bystra, i cnotliwa, być może zmieniłby zdanie w sprawie niestałej natury kobiet. No cóż, wiedział jednak, jaka naprawdę jest panna Charlton, z żalem więc musiał pozostać przy dotychczasowych przekonaniach.

Faktem jest, że już dawno żadna, kobieta tak mocno na niego działała. Podejrzewał, że wynika to z przydługiej abstynencji, lecz w głębi duszy dobrze wiedział, że sam się oszukuje. Chodziło o uwodzicielską naturę Rose w połączeniu z jej przenikliwym umysłem.

O tak, zamierzał korzystać z życia tutaj, w zamku Morton, to pewną. Zafunduje sobie prezent gwiazdkowy w postaci tej atrakcyjnej wiedźmy. Tymczasem jednak musiał iść do kościoła, odśpiewać kolędy i wypić łyk gorącego wina po powrocie.

Wyglądał na ogromnie zadowolonego i Rose zaczęła się mimowolnie zastanawiać nad przyczynami tego zadowolenia. Naturalnie, uważał ją za kobietę innego pokroju, w związku z czym liczył na szybki i łatwy podbój. Cóż, był w błędzie.

Nie przestawał jej fascynować. Świadoma tego, postanowiła wykorzystać sir Milesa, nie dopuszczając jednak do sytuacji, w której on odpłaci jej pięknym za nadobne. Rzecz jasna, w niedzielny poranek nie takie myśli powinny chodzić jej po głowie.

- O której planuje pan wyjście do kościoła? - spytała.

Dzięki temu pytaniu Miles zyskał możliwość powiedzenia ostatniego słowa w tej krótkiej, lecz jakże ożywionej wymianie zdań.

- O dziesiątej - poinformował ją. - Dzięki temu nie zabraknie nam czasu na spokojny spacer.

Rose skinęła głową i powróciła do pokoju, po drodze mijając kilku gości państwa Mortonów, podążających na śniadanie. Większość panów wyglądała na wyczerpanych i osowiałych, za to damy tryskały werwą i humorem. Rose podzielała ich nastrój.

Gdy zjawiała się w holu, ujrzała sporą grupę ludzi, wybierających się do kościoła. Przyszła Isabel z Anthonym, a także pani majorowa Scriven, która dołączyła do Milesa. Na widok Rose skrzywiła się nieznacznie i obrzuciła ją niezyczliwym spojrzeniem. Rose początkowo nawet nie zamierzała podchodzić do Milesa, lecz po namyśle zmieniła zdanie.

Tak czy owak, Miles przemyślnie lub niechcący sprawił, że pani majorowa się zmieszała. Otóż podał jej prawą rękę, Rose zaś lewą. Rose przeszło przez myśl, że w rezultacie wyglądają dość humorystycznie i przypominają dawną rycinę w jednej z „Ksiąg urody”, zatytułowaną „Róża między dwoma cierniami”. Rzecz jasna, w tym wypadku cierń umieszczono w środku, różę z lewej.

Szczęśliwie nie mieli okazji do flirtu, gdyż pani majorowa Scriven mówiła bez przerwy, przez całą drogę do kościoła Świętej Heleny. Opowiadała, jak ogromnie tęskni za dwójką małych dzieci pozostawionych w domu pod opieką niezamężnej ciotki.

- Rzecz jasna, Hannibal był zdecydowany jechać, a ponieważ uznał, że dzieci wynudzą się podczas uroczystości, musiałam je zostawić w domu, niestety.

Hannibal! Rose ledwie stłumiła śmiech i surowo przykazała sobie, by nie zadawać pani majorowej pytania, kiedy jej szanowny mąż planuje najechać Rzym. Mimowolnie kąciki ust uniosły się jej w lekkim uśmiechu, co zauważył Miles, gdy zwrócił ku niej głowę. Nie miał pojęcia, co zabawnego usłyszała jego towarzyszka z lewej, toteż

postanowił ją o to spytać, kiedy zostaną sami - a przynajmniej względnie sami, biorąc pod uwagę liczbę gości. Póki co zachowywał milczenie, jego zdaniem najbardziej odpowiednie w zaistniałej sytuacji.

Kościół okazał się mały i uroczy; stanowił prawdziwe przeciwieństwo wielkiego i surowego zamku. W środku umieszczono liczne grobowce zmarłych członków rodu Mortonów, a także mosiężne tabliczki upamiętniające byłych duchownych. Świątynię przyozdobiono już ostrokrzewem i bluszczem, przygotowując ją na Boże Narodzenie, a w kącie stał żłóbek, w którym złożono lalkę przedstawiającą maleńkiego Jezusa. Piękne, średniowieczne witraże przetrwały barbarzyńskie poczynania wysłanników Henryka VIII i purytanów Cromwella. Historyczne zawieruchy oszczędziły też mosiężną podpórkę pod książki, w kształcie gotowego do lotu orła.

Rose odkryła, że panująca w kościele cisza, w połączeniu z wielobarwnymi promieniami słońca, wpadającymi przez okna, działa kojąco na jej duszę. Usiadła po lewicy Milesa, lecz po raz pierwszy jego bliskość jej nie rozpraszała.

Niemal posągowy bezruch Rose zaintrygował Milesa, lekko zirytowanego ciągłym wierceniem się pani majorowej, której było niewygodnie na twardej ławie. Ponownie spojrzał na idealny profil Rose. Tym razem nie dostrzegł w jej twarzy śladów rozbawienia, jedynie głębokie skupienie. Nieświadoma zainteresowania sąsiada Rose sięgnęła po księgę z hymnami, leżącą na oparciu ławy z przodu, i wyszukała pieśni zaplanowane na dzisiejszą uroczystość.

To akurat nie powinno budzić zdziwienia, w końcu była zapaloną śpiewaczką, ale Miles uznał, że Rose zachowuje się w kościele całkiem inaczej. Nagle przyszło mu do głowy, że może być hipokrytką - tego nigdy nie wolno wykluczyć - a w dodatku wyśmienitą aktorką.

Westchnął cicho, lecz to wystarczyło, aby zdekoncentrować Rose. Odwróciła się ku niemu.

- Nie może się pan doczekać rozpoczęcia mszy?

- Nie w tym rzecz - zaprzeczył zgodnie z prawdą, lecz nie mógł wyjawić, dlaczego westchnął. Na szczęście od konieczności składania dalszych wyjaśnień wybawił go dźwięk organów. Niewielki chór zanucił słowa pieśni, a pastor zaczął odprawiać mszę. Przykuła ona uwagę wszystkich. Pastor, człowiek młody, miał dźwięczny, mocny głos; jego kazanie o chrześcijańskiej dobroczynności okazało się wzruszające. Później, gdy wierni się rozchodzili, duchowny stał przy wyjściu i osobiście zegnał każdego. Isabel zawczasu poinformowała Rose, że duchowny został zaproszony do zamku.

- To człowiek z dobrej rodziny - wyjaśniła. - Penrose, doktor Philip Penrose. Na wiosnę planuje ślub z jedną z panien Saville z Yorkshire.

Rose pomyślała z rozbawieniem, że to tłumaczy zaproszenie pastora - więcej duchowni z poślednich rodzin nie bywali gośćmi w bogatym zaniku. Skarciła się w duchu za tę niezbyt szlachetną myśl, która pozostawała w sprzeczności z jej postanowieniem o unikaniu pochopnego oceniania ludzi.

Poprawię się, pomyślała bez przekonania. Nie pierwszy raz to sobie obiecywała, lecz zwykle nie dotrzymywała słowa, a i tym razem miała niewielkie szanse, zwłaszcza biorąc pod uwagę prowokacje ze strony sir Milesa Heywarda lub majora Scrivena. Na szczęście Anthony Morton postanowił odprowadzić ją do domu, pozostawiając Isabel Milesowi, a panią majorową Scriven komukolwiek, kto zechce ofiarować jej ramię.

Pani majorowa nie omieszkała poskarżyć się mężowi, kiedy zszedł na lunch, który w zamku Morton podawano o wpół do pierwszej.

- Doprawdy, oczekiwałam, że odprowadzisz mnie dziś do kościoła - powiedziała cicho, kiedy goście tłoczyli się przy suto zastawionym stole, by nakładać potrawy na talerze.

- Doskonale wiesz, że śmiertelnie się nudzę podczas tych nadętych kazań, zwłaszcza jeśli cierpię na migrenę. Przecież w takich sytuacjach zawsze występujesz w moim imieniu - zauważył Scriven.

Nie powinien był jednak tego robić, gdyż obok stał pastor Penrose i słyszał każde słowo. Żona majora szturchnęła go wymownie, lecz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Philip Penrose uśmiechał się z niezmaconym spokojem. Stracił złudzenia co do swoich owieczek, chociaż - zazwyczaj bez powodzenia - usiłował umacniać ich w wierze.

Kobietą, która go zafascynowała, była młoda dama. Obserwował ją uważnie od czasu wspólnej modlitwy w kościele. Wówczas, podobnie jak teraz, sprawiała wrażenie niezwykle spokojnej i opanowanej, lecz wydawało mu się, że to tylko pozory, bo w gruncie rzeczy była głęboko poruszona. Jeśli się nie mylił, a nie miał co do tego wątpliwości, jego chrześcijańskim obowiązkiem było udzielenie jej pomocy. O ile, oczywiście, zdoła to zrobić.

Wziął do ręki talerz i podszedł do miejsca, w którym młoda kobieta siedziała samotnie, z dala od reszty towarzystwa. W tym czasie Miles rozmawiał z Mortonami.

- Mam nadzieję - zaczął Philip, kłaniając się uprzejmie - że choć nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni, nie uzna mnie pani za natręta, jeśli zajmę miejsce obok.

- Bynajmniej - odparła Rose. - Gwoli ścisłości jednak, ja znam pańskie nazwisko, choć pan mojego nie. Pozwoli pan: nazywam się Rose Charlton, jestem kuzynką pani Morton.

- Panno Charlton, czy po raz pierwszy bawi pani w Yorkshire?

- Owszem. Mam dom w Londynie i jeszcze jeden w Nottingham, lecz nigdy nie podróżowałam na północ.

- Mogę spytać, jak ocenia pani te okolice?

- Niezbyt dobrze jeszcze je poznałam, ale mogę powiedzieć, że są zarazem dzikie i piękne. Jednak zdaję sobie sprawę, iż tutejsze miasteczka trudno nazwać urokliwymi.

- W rzeczy samej. Swoje pierwsze obowiązki duszpasterskie pełniłem w Leeds. Może to panią zdziwi, ale tęsknię za tym miastem. Mieszka tam wiele dusz oczekujących zbawienia.

- Och, na wsi z pewnością również ich nie brakuje.

- W istocie.

Pastor zachowywał się bardzo uprzejmie i wzbudzał jej zaufanie, ponadto wcześniej przypadł jej do gustu jego sposób odprawiania nabożeństwa. Pochyliła się i zapytała:

- Proszę mi wyznać, pastorze, jak daleko można się posunąć w oszustwie dla ratowania własnej skóry? Czy to przystoi chrześcijaninowi?

A zatem przeczucie go nie myliło. Rzeczywiście coś ją dręczyło. Jak odpowiedzieć na tak postawione pytanie?

- W żadnym wypadku nie należy tego czynić, lecz nie znam okoliczności sprawy i nie wiem, jak ważne jest dla kogoś uratowanie skóry. Cóż, w moim przekonaniu oszustwa należy unikać zawsze, bez względu na koszty.

- Bez względu na koszty - powtórzyła Rose. Powinna była się domyślić odpowiedzi pastora. - Niekiedy bywa to trudne.

- Rozumiem. Niemniej w życiu zawsze należy kierować się sumieniem.

Nie takiej rozmowy oczekiwał podczas lunchu w zamku Morton, lecz kapłan zawsze i wszędzie musi być przygotowany na świadczenie posług duchowych. Rose

postanowiła zmienić temat. Pastor powiedział jej tylko to, co i tak już wiedziała.

Podczas dalszej pogawędki skoncentrowali się na błahostkach. Nagle Rose zorientowała się, że Miles Heyward nie odrywa wzroku od niej i od Philipa Penrose'a. Na dodatek wcale nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

O co, u licha, mu chodziło? Rose uznała, że z pewnością wkrótce pozna odpowiedź na to pytanie. W pewnej chwili Anthony Morton przywołał pastora, by przedyskutować kwestię poboru kościelnych dziesięcin, a Miles skorzystał z okazji, podszedł do Rose i zajął miejsce duchownego.

- Czego chciał od pani pastor? Podczas rozmowy wyglądał na niesłuchanie ożywionego - zauważył z przekąsem.

Miles zdumiał się tym niespodziewanym atakiem zazdrości. Philip Penrose był urodziwym mężczyzną o doskonałej prezencji i patrzył na Rose Charlton w sposób, który zupełnie nie odpowiadał Milesowi.

- To pana nie powinno obchodzić - zareagowała ostro Rose. - Pastor Penrose może ze mną rozmawiać, ile zechce, a pan nie ma prawa mu tego zabraniać. Powinien pan mieć świadomość, że zwracając się do mnie w taki sposób, zapomina pan o manierach dżentelmena.

- Widać nie można mnie nazwać dżentelmenem. - Miles nie ukrywał złości. - Niech piekło pochłonie ich maniery. Mój dziadek był urzędnikiem, który szybko zbił majątek w Londynie, w czasie spekulacji akcjami Kompanii Mórz Południowych i wprowadzenia pamiętnej ustawy o bańkach mydlanych. W rezultacie wykupił sporą część City, a przekupiwszy odpowiednich polityków, uzyskał tytuł baroneta. Jak dotąd nie dysponuję posiadłością ziemską, ale kiedy taką nabędę, być może zacznę udawać, że jestem

dżentelmenem z urodzenia. Uczynię tak wyłącznie dla dobra swoich dzieci.

Miles zawsze zachowywał się nienagannie, jak życzył sobie jego ojciec, i zachowywał dla siebie tajemnice rodzinne. Przy Rose niemal wykrzyczał prawdę. Dlaczego to zrobił, skoro ta panna jeszcze niedawno budziła w nim wyłącznie pogardę?

Rose nie odrywała wzroku od Milesa. Musiała przyznać, że to wyznanie było niesłychanie zdumiewające.

- Och, mniejsza z tym - skomentowała. - Wszyscy pochodzimy od Adama i Ewy, dlatego musimy zachowywać się wobec siebie przyzwoicie, bez względu na to jaka krew płynie w naszych żyłach. Rzecz w tym, że' dżentelmeni powinni pamiętać o szczególnych obowiązkach, jakie na nich ciążyą.

- Teraz już rozumiem, czego dokonał pastor. Nauczył panią głosić kazania, czy tak? Bez wątpienia prawi mi pani morały, panno Charlton!

- Milesie. - Westchnęła, przez nieuwagę zwracając się do rozmówcy po imieniu. Później tłumaczyła sobie, że ta pomyłka wynikała z nadmiaru wrażeń. - Kim była twoja matka?

- Moja matka! - wykrzyknął. - A cóż ona ma do rzeczy?

- Wspomniałeś, że nie jesteś dżentelmenem ze względu na pochodzenie dziadka, choć przecież otrzymał on tytuł baroneta. W takiej sytuacji zainteresowała mnie rodzina twojej matki.

- Wywodzi się z Wyndhamów. - Miles zrobił minę człowieka, który stracił nadzieję na zrozumienie kobiecego umysłu.

- Chodzi o Wyndhamów z Petworth?

- Tak... - Wciąż nie potrafił pojąć, do czego zmierza Rose.

- To wiele wyjaśnia. Przodkowie byli ludźmi sukcesu i godnymi naśladowania przedsiębiorcami, a w dodatku twoja mama pochodzi z rodziny znanej z ekscentrycznych zachowań.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego mówimy o mojej matce.

- Jak kiedyś oświadczył mój dziadek, zarazem rolnik i szlachcic, jeśli chcesz zrozumieć prawdziwą naturę zwierzęcia, powinieneś poznać jego rodowód, a w szczególności bezpośrednich przodków. W opinii mojego dziadka to samo dotyczy ludzi.

Miles popatrzył uważnie na Rose. Cóż, może rzeczywiście odziedziczył ekscentryczność po matce. Musiał przyznać, że wielokrotnie zachowywała się nietypowo i zaskakująco. Pomyślał, że panna Rose Charlton również prezentuje osobliwe spojrzenie na rzeczywistość.

Jakie jeszcze tajemnice skrywała pod tym uroczym uśmiechem? - Uważa mnie pani za ekscentryka? - nie wytrzymał.

- Niezupełnie - sprostowała Rose, sądząc, że posunęła się za daleko, ale przy tym przekonana, iż ktoś wreszcie powinien wyjaśnić Milesowi Heywardowi pewne sprawy z nim związane. - Przyzna pan jednak, że daleko mu do normalności, dajmy na to, w porównaniu z Anthonyem.

Podpułkownik Miles Heyward przypomniał sobie uwagę, którą pod jego adresem wygłosił niegdyś książę Wellington. „Heyward, jest pan nieco szalony, ale panuje pan nad odruchami, dzięki czemu zasłużył pan na miano przyzwoitego człowieka i znakomitego żołnierza”.

I pomyśleć tylko, że teraz ta młoda kobieta wygłasza pod jego adresem podobne uwagi, choć wyrażone innymi słowami. Tak, musiał przyznać, że ani trochę nie przypominał swojego przyjaciela, Anthony'ego, który był rzeczowym i

pozbawionym wyobraźni człowiekiem. Rzecz jasna, właśnie tacy jak on na swój sposób przyczyniali się do chwały Anglii.

Miles nie zdołał opanować śmiechu.

- Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie mi wysłuchiwać takich opinii z ust młodej damy o wyjątkowo niewinnym wyglądzie. - Wygłosiwszy tę opinię, Miles nabrał nieodpartej ochoty, by wziąć Rose w ramiona i obsypać pocałunkami,

Do licha, wszystko jedno, czy była świętą, czy ladaczną, chciał ją przytulić, zaciągnąć do łóżka... Ogarniało go podniecenie, a to przecież niedziela, pokój pełen ludzi, pastor tuż obok...

Jeśli uważał, że pobyt w zamku Morton zapowiada się nudno i bezbarwnie, to nie mógł być w większym błędzie. Panna Rose Charlton najwyraźniej robiła wszystko, by ożywić świętą. Skoro tak, Miles pomyślał, że zrewanżuje się jej w ten sam sposób, i niech zwycięży lepszy - albo lepsza!

Po słownym pojedynku w porze lunchu Rose uznała, że powinna ukryć się w pokoju, by uniknąć dalszych potyczek. Ogarnęły ją wątpliwości. Czy to możliwe, że powiedziała Milesowi te wszystkie okropności na temat jego matki? Zarumieniła się na samo Wspomnienie. Nie wiedzieć czemu, Miles budził w niej najgorsze instynkty. Od pierwszego spotkania mówiła o tym, co przyszło jej do głowy, a co powinna zachować dla siebie.

Dobrze, że nadeszła Isabel i zaprowadziła ją do panny Frances Courtney. Panna Frances nie należała do grona zamkowych gości, a jedynie zaproszono ją na lunch. Przekroczyła pięćdziesiątkę i cechował ją urok typowy dla niektórych pań w średnim wieku.

- Właśnie mówiłam pani kuzynce, że zaprosiłam na jutrzejsze spotkanie świąteczne kilkoro przyjaciół. Z przyjemnością ujrzę wszystkich państwa przed lunchem.

Planuję przygotowanie wczesnego, półoficjalnego posiłku, zakończonego tańcami.

- Czy nasze grono nie jest zbyt liczne? - zaniepokoiła się Isabel, wodząc wzrokiem po sporej grupie świątecznych gości.

- Bynajmniej. Zatrudniłam nowego, wyśmienitego kucharza i jestem pewna, że z przyjemnością złoży pani na moje ręce możliwość jednodniowego zatroszczenia się o zebrane tu osoby.

W ten sposób ostatnie wątpliwości Isabel zostały rozwiane. Panna Courtney miała do pewnego stopnia rację. Przekazanie miłego skądinąd obowiązku opieki nad gośćmi oznaczało dzień wolny dla Isabel, która wahała się jeszcze z powodu specyficzniej pojętej, choć niewątpliwie życzliwej gościnności, obowiązującej w domu panny Courtney.

- Czy mam rozumieć, że to ekscentryczka? - spytała Rose, gdy Isabel podzieliła się z nią wątpliwościami.

- Można tak to ująć - usłyszała w odpowiedzi. - Naturalnie, nie chodzi o ekscentryczność graniczącą z brakiem równowagi umysłowej.

- Naturalnie - przytaknęła Rose.

Zatem w domu rodziny Courtneyów miało się zebrać troje ekscentryków: ona sama, Miles i gospodyni. No, i na dokładkę major Scriven.

Patrząc na uśmiech Rose, Isabel zaczęła się zastanawiać, co takiego rozbawiło kuzynkę. Przypomniała sobie, że kiedy były jeszcze dziećmi, Rose wielokrotnie przychodziły do głowy rozmaite dziwne pomysły, których realizacja często wpędzała obydwie dziewczynki w kłopoty, choć trzeba przyznać, że inwencja Rose często ratowała je z opresji.

Kilka godzin później Rose wciąż nie opuszczał doskonały humor. Paru gości postanowiło pospacerować po ogrodzie; inni, głównie panowie, zawędrowali do sali bilardowej, gdzie nie obowiązywał zakaz palenia. Rose na pewien czas zagłębiła

się w lekturze, a następnie wzięła pod pachę pudełko pełne kredek i materiałów rysunkowych, by iść do biblioteki, gdzie znajdowało się duże okno wykuszowe, o każdej porze dnia gwarantujące dobre oświetlenie.

Przed wejściem do biblioteki zdjęła z parapetu ciemiernik w doniczce, czyli święteczną różę. Roślina mogła posłużyć jako świetny model do narysowania martwej natury. Rose założyła, że zakończy pracę przed zapadnięciem zmroku. Poza tym o tej porze biblioteka powinna być opustoszała; najchętniej korzystano z niej po śniadaniu, gdyż właśnie wówczas goście pisali listy, czytali gazety - nie nowsze niż sprzed kilku dni - i przeszukiwali półki w poszukiwaniu zajmującej lektury na popołudnie.

Zgodnie z oczekiwaniami Rose, sala świeciła pustkami. Jediną osobą w pomieszczeniu był bibliotekarz, doktor Smailes. Rozłożyła przybory na dużym stole przy oknie, przeznaczonym dla osób, które chciały przestudiować jedną z map spoczywających w dużej szufladzie.

- Czy mogę służyć pomocą, panno Charlton? - natychmiast spytał bibliotekarz.

Rose uśmiechnęła się i podniosła kwiatek, umieszczając go na koronkowej chusteczce, którą przyniosła z pokoju.

- Nie przyszłam czytać - wyjaśniła. - Pomyślałam, że szkic ciemiernika byłby przyjemną pamiątką po mojej wizycie w Yorkshire.

- Doskonały pomysł - pochwalił doktor Smailes.

- W takiej sytuacji nie będę pani przeszkadzał. Proszę się spieszyć, zimowe dni są bardzo krótkie.

Rose zaczęła od narysowania kilku kresek ołówkiem; dopiero podczas szkicowania podejmowała decyzję o ostatecznym charakterze dzieła. Podobnie jak w wypadku lekcji muzyki, jej ojciec, a potem dziadek, zadbali o najlepszych nauczycieli rysunku, a ona okazała się tak zdolną

uczennicą, że obecnie trudno byłoby nazwać ją amatorką. Potem skupiła uwagę na kolorystyce rysunku. Praca pochłonęła ją do tego stopnia, że nie usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi do biblioteki i wchodzi do środka. Podniosła głowę dopiero wtedy, gdy intruz podszedł do okna, przy którym siedziała. Stał przed nią Miles Heyward.

Nowo przybyły położył na stole dużą książkę, z którą przyszedł.

- Witaj, Rose - przywitał się, porzucając oficjalną formę zwracania się. - Nie podejrzewałem, że cię tu zastanę, a tym bardziej nie chciałbym przeszkadzać. Proszę, nie zwracaj na mnie uwagi.

Zachował się tak uprzejmie, że Rose wybaczyła mu to nagłe wtargnięcie do biblioteki. Odłożyła kredkę do pudełka.

- Nic się nie stało. Pracuję już dość długo i potrzebuję odpoczynku.

Miles sięgnął po jeden z próbnych szkiców i obejrzał go z uwagą.

- Proszę, proszę, czyli potrafisz nie tylko pięknie grać na fortepianie, ale i rysować. Czy mogę spojrzeć na dzieło, które wychodzi spod twojej ręki?

Rose przysunęła do niego mały stojak, na którym postawiła rysunek. Nie był jeszcze skończony, lecz łączył precyzję wykonania z niekwestionowanym talentem autorki.

- Wspaniale - pochwalił. - Ciemiernik, przedmiot naszej rozmowy. Czy dlatego wybrałaś go jako temat rysunku?

- To chyba jeden z powodów - odparła wymijająco.

- A może jedyny? - Zanim zdążyła zebrać myśli, dodał: - Nie odpowiadaj. Powiedz mi lepiej, czy malujesz także akwarele lub oleje?

- Owszem, niemniej wyłącznie amatorsko.

- Tak czy owak świetnie znasz się na rzeczy. Rose pokręciła głową.

- A pan maluje, sir Milesie? - spytała.

- Milesie - poprawił ją. - Owszem, akwarele. Wojskowe mapy topograficzne dla sztabu, żeby dowódcy znali układ terenu, na którym toczy się kampania. Prozaiczne dzieła, niestety, żadną miarą nie dorównują twoim. - Wskazał dłonią szkicownik. - Mogę rzucić okiem na inne?

Rose była zaskoczona. Miała powody, by nie udostępnić rysunków Milesowi, lecz dobre wychowanie nie pozwalało odmówić.

- Jeśli sobie życzysz... To nic nadzwyczajnego. Tylko seria szkiców.

Miles usiadł i skupił się na rysunkach. Od razu zrozumiał, że skromność Rose jest nieuzasadniona. Obok pospiesznych, schematycznych rysunków w teczce znajdowały się bardziej szczegółowe, dopracowane kompozycje, a wszystkie były bardzo interesujące. Dopiero ostatnie strony szkicownika wyjaśniły, dlaczego Rose tak niechętnie udostępniła Milesowi teczkę. Ku swojemu zdumieniu - i rozbawieniu - ujrzał, że cztery rysunki są poświęcone właśnie jemu! Panna Charlton sporządziła nie tylko wierne i precyzyjne portrety, lecz także karykatury, a wszystko to powstało niewątpliwie podczas pobytu w zamku Morton. Sir Miles na rysunkach śmiał się, złościł, spoglądał krytycznie; stał i siedział, jadł i czytał.

Oszołomiony podniósł wzrok. Rose była purpurowa.

- Wybacz - wykrztusiła.

- Nie w tym rzecz. - Uśmiechnął się. - Twoje zainteresowanie jest dla mnie najwspanialszym komplementem. Nie brałaś pod uwagę możliwości pokazania mi tych portretów, prawda?

- Nie. Nie przypuszczałam, że przyjdiesz, powinieneś teraz spacerować wraz z resztą towarzystwa. Poproszę o szkicownik, z miejsca podrę te rysunki. Wiele z nich jest nieprzychylnych.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie. - W żadnym wypadku. Jeśli ty ich nie chcesz, chętnie je wezmę. Możesz mi je ofiarować, są zbyt dobre, by je zniszczyć. Świetnie uchwyciłaś moją żalną osobę, a w dodatku wszystko rysowałaś z pamięci, w swoim pokoju, prawda?

Twarz Rose ponownie przybrała delikatny odcień porcelany.

- Mam dość specyficzną pamięć. Kiedy coś widzę, potrafię to precyzyjnie utrwalić w umyśle. Pewnie na tej zasadzie umiem grać bez nut. To kwestia umiejętności, tak przypuszczam. Nie jestem w stanie znaleźć innego wytłumaczenia. - Zawahała się. - Jeżeli moje rysunki naprawdę przypadły ci do gustu, możesz je zatrzymać - zaproponowała nieśmiało.

- To miłe z twojej strony - podziękował Miles i dodał po chwili: - Nie da się ukryć, że nie na wszystkich uwieczniłaś mnie tak, jakbym sobie tego życzył. Czy naprawdę wyglądam tak ponuro i odpychająco?

Rose postanowiła nie kryć prawdy.

- Zgadza się. Właśnie tak wyobrażam sobie prawdziwego żołnierza, a przecież byłeś w armii.

- Nie przeczę. Służyłem pod rozkazami Wellingtona w bitwie pod Waterloo. Gratuluję ci, wczoraj wieczorem trafiłaś w sedno.

Rose miała jeszcze jedną interesującą cechę: potrafiła dostrzec prawdziwe oblicze otaczających ją ludzi. Dlatego nie mogła znieść towarzystwa osób pokroju majora Scrivena. Miles ją intrygował. Wiedziała, że powinna nim gardzić za to, że ma o niej jak najgorsze mniemanie, jednak wyczuwała, że to stanowczy, sumienny, a w gruncie rzeczy dobry człowiek. A do tego interesował ją jako mężczyzna.

Miles przypatrywał się uważnie Rose, kiedy wyjmowała kartki ze szkicownika, który jej zwrócił. Wszystko, co robiła,

było wyważone, nawet jej sposób mówienia - z wyjątkiem chwil, kiedy ją prowokował. Zaskakiwała go odmiennością. W niczym nie kojarzyła mu się z frywolnymi kobietami, a przecież podobno zaliczała się do ich grona. Ponadto coraz bardziej niepokoiły go własne emocje.

Pożądał jej, to pewne, lecz przy tym miał ochotę zaopiekować się nią, czego nie odczuwał w stosunku do kochanek. Pragnął jej towarzystwa i bliskości, a jednocześnie chciał, by go zaaprobowała.

Czyżby zebrało mu się na sentymentalizm? Jeśli tak, to chyba pora się z tego leczyć. Nie powinien przecież tracić czujności i zapominać o wszystkim, czego doświadczył przez podłość Emily. Dotąd przypuszczał, że jest człowiekiem twardym, doświadczonym przez życie, dojrzałym. Momentalnie przypomniał sobie dawne chłopięce czasy, pierwszą miłość, a także słodycz, jaka się z nią wiązała.

Miles nie wiedział, że Rose podziela jego odczucia. Jedyna różnica polegała na tym, że nigdy dotąd nie doświadczyła tak intensywnych doznań. Nie miała ich z czym porównać. Pragnęła ponownie musnąć rękę Milesa. Może to tylko przypadek, który się nie powtórzy, uznała.

Zadrżała na samą myśl o takiej ewentualności.

Miles wziął rysunki i wymamrotał podziękowanie. Potem ukłonił się i ruszył do wyjścia, zapomniawszy, co go sprowadziło do biblioteki.

- Twoja książka! - zawołała za nim Rose. - Zostawiłeś książkę!

Miles się odwrócił. Najwyraźniej stracił zdolność trzeźwego myślenia. Przyniósł książkę, pierwszy tom sporządzonej przez sir Josepha Banksa relacji o wyprawie po Oceanie Spokojnym i do Australii; chciał ją oddać i pożyczyć drugi tom. Pod wpływem czarów panny Rose Charlton - a

musiały to być czary, skoro jeszcze nigdy nie zachowywał się tak dziwnie - zapomniał o celu wizyty w bibliotece.

Odłożył rysunki, wziął do ręki ciężkie tomisko i wytłumaczył, że przyszedł po dalszą część wspomnień podróżnika.

- Zapewne uznasz mnie za dziwaka, lecz naprawdę zapomniałem, po co przyszedłem.

- Ależ skąd - zaprzeczyła Rose, która oddając książkę, ponownie dotknęła Milesa i przekonała się, że ponowny kontakt fizyczny podziałał na nią tak samo piorunująco, jak poprzedni. - Rozkojarzyłeś się na mój widok.

Niewątpliwie miała rację, choć zapewne chodziło jej o całkiem inny rodzaj rozkojarzenia.

A może jednak? Miles wciąż nie wiedział, czy Rose to pożeraczka męskich serc, czy też niewinne dziewczę, niemniej dopuszczał już tę drugą możliwość, co jeszcze niedawno było nie do pomyślenia. Może jego przyjaciel, Oliver Fenton, który przekazał mu prawdę o jej perfidii, był w błędzie. Och, do diabła z tym wszystkim! Jeśli nie wyjdzie i nie zagłębi się we wspomnienia sir Josepha z wędrówki po Pacyfiku, kto wie, jakich szaleństw się jeszcze dopuści?

Rose czuła to samo. Weź się w garść, przykazała sobie surowo. Kiedy wyjdzie, odzyskam równowagę, pocieszyła się w duchu.

Gdy Miles powrócił do swojego pokoju, ze zgrozą uświadomił sobie, że wskutek rozkojarzenia popełnił jeszcze jedno głupstwo: zapomniał zabrać rysunki ofiarowane mu przez Rose. Z książką w ręku ruszył do biblioteki

Na widok Milesa ponownie otwierającego drzwi Rose wybuchła niepohamowanym śmiechem.

- Tym razem zabrałeś książkę, lecz zapomniałeś o rysunkach - zauważyła.

Miles rzucił dzieło sir Josepha na najbliższy stół, podszedł do Rose, wziął rysunki, po czym je odłożył.

- Do diabła z tym wszystkim - rzucił, zanim zdołał powściągnąć język. Niespodziewanie chwycił Rose w ramiona i ucałował ją gorąco. Po chwili jednak znieruchomiał i cofnął się o krok. - Och, przepraszam, błagam o wybaczenie. Ta napaść jest absolutnie niewybaczalna.

Dla Rose rozsądek przestał istnieć, teraz liczyła się tylko namiętność. Jak to możliwe, że mężczyzna, którego nie znosiła, którym pogardzała, gdyż nie potrafił sprawiedliwie ocenić drugiego człowieka, do tego stopnia ją poruszył? Przecież sir Miles wyciągał pochopne wnioski wyłącznie na podstawie niesprawdzonych informacji pewnego lekkomyślnego osobnika. Nie powinna ufać żadnemu mężczyźnie, a w szczególności sir Milesowi Heywardowi.

Przede wszystkim nie mogła dopuścić, by zrozumiał, jak bardzo na nią oddziałuje. Najwyraźniej ciało przestało słuchać umysłu, bowiem w tej chwili pragnęła tylko jednego: nowych pocałunków! Nie mogła dopuścić, by ponownie wziął ją w ramiona, w żadnym wypadku.

Może najlepszym sposobem na uniknięcie kłopotliwych sytuacji byłoby okazanie Milesowi, że jego zachowanie jest jej obojętne? Kilka stosownie dobranych słów powinno wystarczyć do osłabienia niebezpiecznego napięcia, które między nimi powstało.

Tak więc Rose powiedziała z wyraźnym rozbawieniem w głosie.

- Teraz masz dwie możliwości: albo wreszcie otrzeźwiejesz, albo zupełnie pomiesza ci się w głowie!

Oboje wybuchnęli śmiechem. Milesa rozbawił własny tupet i w rezultacie żarliwe porywy namiętności przekształciły się w obopólną wesołość, zakończoną przez doktora Smailesa, który wyjrzał ze swojego gabinetu i zmierzył spojrzeniem

osobliwych gości biblioteki, porzucone na stole wspomnienia sir Josepha oraz rysunki Rose.

- Coś się stało? - spytał, momentalnie przywracając obojgu zdolność logicznego myślenia.

- Ależ skąd - zaprzeczyli zgodnie.

Tym razem Miles nie zapomniał zabrać księgi sir Josepha i szkiców Rose. Mijając osłupiałego bibliotekarza, były żołnierz oświadczył:

- Panna Charlton pokazywała mi karykatury swojego autorstwa. Ma prawdziwy talent, zapewniam pana. Po prostu Gillray w spódnicy, ot co.

Jeśli doktor Smailes się zdziwił, dlaczego kilka rysunków tak bardzo rozbawiło dwoje z pozoru zrównoważonych ludzi, to nie podzielił się z nikim swoimi wnioskami. Podszedł bliżej, by rzucić okiem na rysunek Rose i stosownie go pochwalić. Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał jedynie szkic ciemiernika!

Słowo „oszołomienie” dobrze oddawało stan jej uczuć po spotkaniach z Milesem. Myślała o tym, schodząc na kolację. Powinna nad sobą zapanować i zachowywać się jak na damę przystało. W końcu nie mogła zawieść zaufania Isabel i Anthony'ego.

Rzecz jasna, podczas posiłku przypadło jej miejsce obok Milesea. Wierna postanowieniom próbowała uczestniczyć w rozmowie prowadzonej w trakcie kolacji, lecz skończyło się na tym, że od czasu do czasu wtrącała jedynie „Tak”, „Nie”, „No właśnie” oraz: „Doprawdy?”, bez względu na poruszany temat.

Po wypiciu kieliszka porto panowie oddalili się do bawialni. Miles ujrzał, że Rose siedzi samotnie, zajęta przeglądaniem albumu z rysunkami i opisami najwspanialszych angielskich budowli. Gdy odmówiła udziału

w zabawach organizowanych przez panów, zatroskany Miles usiadł obok niej, by porozmawiać.

- Na pewno nic ci nie jest, Rose? - spytał przejęty. - Podczas kolacji wyglądałaś na rozkojarzoną. Może się przepracowałaś dzisiaj po południu?

Rose, zdecydowana zachować opanowanie podczas spotkań z Milesem i z wszystkimi innymi gośćmi, ku własnemu przerażeniu usłyszała, jak wykrzykuje:

- Oczywiście, że się nie przepracowałam! Na litość boską, rysowałam tylko ciemiernik! Nikt mnie nie najął do malowania sufitu Kaplicy Sykstyńskiej!

Dlaczego Miles tak na nią działał? Powinna być zadowolona, że wszystkich dookoła pochłoneła zabawa w ciuciubabkę i nikt nie zwrócił uwagi na jej wybuch.

Miles nie krył rozbawienia.

- To rozumiem. - Zachichotał. - Skąd zatem wzięła się twoja nietypowa skrytość dzisiejszego wieczoru?

- Dama powinna być skryta i opanowana - zareplikowała i niespodziewanie dla samej siebie postanowiła traktować rozmówcę z jeszcze większym dystansem.

- Musisz przyznać, że podczas kolacji i po niej zachowywałaś się w sposób całkowicie dla siebie nietypowy.

- Może to dlatego, że moje wcześniejsze zachowanie mi nie odpowiadało i postanowiłam się zmienić.

- Jeśli o mnie chodzi, wolę tę dawną Rose niż nową - obwieścił żartobliwie.

Rose żałowała, że nie jest jedną z tych śmiałych dziewcząt, które w trakcie rozmowy od czasu do czasu potrafią lekko uderzyć partnera wachlarzem. Cóż, i tak nie miała wachlarza ani partnera, skoro już o tym mowa, więc skąd te absurdalne myśli?

A stąd, moja droga, powiedziała sobie w duchu, że on traktuje cię jak twój partner, a jeśli kiedyś planowałaś nabicie

go w butelkę, to teraz jesteś już od tego daleka, i to nie tylko z powodu słów pastora Penrose'a. Byłoby to niebezpieczne, gdyż czujesz do Milesa zbyt silny pociąg. Łatwiej ci będzie go nienawidzić.

- I właśnie dlatego postanowiłam się zmienić - powiedziała głośno.

- Nie, Rose, nie mów tak.

- Muszę. Pomyśl sam, czyż nie łatwiej byłoby ci uwieść starą Rose niż nową?

Czy myślała o nim właśnie w takich kategoriach? Oczywiście, że tak. Nie dał jej powodu, by postrzegą go inaczej. Co więcej, jego własne uczucia były dramatycznie sprzeczne. Najpierw chciał ją otoczyć opieką, a potem zapragnął iść z nią do łóżka. Jeszcze chwilę wcześniej zamartwiał się jej ewidentnym przygnębieniem i myślał o tym, jak jej pomóc i co zrobić, by ją pocieszyć. Wcześniej jej energia stanowiła dla niego wyzwanie, budziła w nim niespotykane silną żądzę. Takiego galimatiasu w jego duszy nie narobiła jeszcze żadna kobieta.

Uczucia Milesa do Emily były wyjątkowo nieskomplikowane. Chciał żony, a ona sprawiała wrażenie odpowiedniej kandydatki. Namiętna miłość nigdy nie wchodziła w grę i dopiero teraz Miles dostrzegł, że Emily mogła mieć jeszcze jeden zasadniczy powód, by zerwać zaręczyny.

- Teraz ty przestałeś się odzywać - zauważyła Rose, gdy milczenie Milesa przedłużało się w nieskończoność.

- Ja również nie malowałem sufitu Kaplicy Sykstyńskiej - zareplikował. - Siedziałem naprzeciwko niesłychanie niekonsekwentnej młodej damy, pozostającej dla mnie równie wielką zagadką, jak sfinks, choć zwykle bardziej wygadanej. Usiłuję pogodzić wszystkie rozmaite Rose, które w swoim przekonaniu znam.

- Wybacz, lecz moim zdaniem sam tworzysz problemy. A teraz przepraszam, ale pora spać. Miałam dziś ciężki dzień, jutrzejszy zapowiada się jeszcze bardziej wyczerpująco, a przecież jeszcze nie zaczęliśmy obchodzić uroczystości świątecznych.

- Zirytowałem cię - orzekł Miles. - Czy naprawdę jesteś aż tak zmęczona?

- Owszem i muszę być gotowa na jutrzejsze trudy. Dobranoc.

Miles nie odrywał wzroku od odchodzącej Rose. Nie takich świąt się spodziewał. Planował spędzić kilka spokojnych, miłych dni na północy, w miejscu, w którym prawie nikogo nie znał, a potem wrócić do domu, odświeżony i wypoczęty.

Tymczasem spotkał tu Rose Charlton i jego plany legły w gruzach.

Zanim rozczulił się nad sobą, pomyślał dokładnie to samo co wczoraj Rose - że podczas świątecznego zamieszania świat jest wywrócony do góry nogami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Milesowi nie udało się przekonać Rose do zajęcia miejsca w jego powozie, kiedy następnego dnia wyruszyli do Courtney House. Anthony i Isabel niezależnie od siebie dostrzegli, jak dużo czasu Miles i Rose spędzają w swoim towarzystwie.

- Może powinniśmy interweniować? - zasugerował Anthony w rozmowie z żoną. - On chyba nie jest świadom, że reputacja Rose pozostawia wiele do życzenia, zresztą nasi goście chyba również nic o tym nie wiedzą. W takiej sytuacji należałoby go chronić. Zaprosimy Rose do naszego powozu. Miles najpierw powinien poznać krążące o niej plotki, a dopiero potem się z nią spotykać.

- Chyba jest nią zafascynowany. - Isabel westchnęła zamyślona. - Bez przerwy wodzi za nią oczami. Z tego co widzę, Rose raczej nie jest nim przesadnie zainteresowana.

- Tak czy owak, powinniśmy ich rozdzielić. Wciąż ubolewam, że zaprosiłaś tutaj tę kobietę, niemniej muszę przyznać, że jak dotąd zachowuje się nienagannie.

Rose z pewnością uśmiechnęłaby się smutno, gdyby słyszała tę rozmowę. Teraz jednak siedziała naprzeciwko Anthony'ego, zamierzając dołożyć wszelkich starań, by nikomu się nie narazić. Robiła to przez wzgląd na Isabel. Postanowiła, że podczas wizyty nie będzie rzucała się w oczy.

Później uznała, że przed zaplanowaniem najbliższego wieczoru powinna była przypomnieć sobie stare powiedzenie: „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”. Tak bardzo przejęła się Milesem Heywardem i jego stosunkiem do niej, że zupełnie zapomniała o możliwości pojawienia się na przyjęciu osób, których zdecydowanie powinna się wystrzeżać.

Z początku wszystko przebiegało bez najmniejszego zgrzytu. Courtney House było pięknym miejscem, zbudowanym i wyposażonym ponad dwieście lat temu; żaden z kolejnych właścicieli nic nie zmienił w budynku, nic do

niego nie dodał. Rose uznała, że dom jest fantastyczny. Po chwili dobiegł ją głos pani majorowej Scriven, krytykującej budowlę jako staromodną.

- Można się tylko zastanawiać, dlaczego nikomu nie przyszło do głowy, by cokolwiek tu zmodernizować? - narzekała.

Panna Courtney zaprowadziła wszystkich do dużej sali z dwoma kominkami, które ogrzewały zmarzniętych po podróży gości. Pani majorowa uznała, że nadarza się kolejna sposobność do krytyki.

- Proszę pamiętać, że mamy święta - zwróciła jej w końcu uwagę Rose.

Na środku pomieszczenia królował długi stół, uginający się pod ciężarem jedzenia i napojów; jak się okazało, w średniowieczu mieściła się tu wielka sala. Zgromadzono tyle krzeseł, taboretów i ław, że zmieściłaby się na nich cała armia. Na jednej ze ścian wisiała imponująca kolekcja broni z czasów wojny domowej: piki, muszkiety, szable, zbroje. Pod ścianą umieszczono długi, dębowy bufet, także suto zastawiony jedzeniem. Służba stała w pogotowiu, pod czujnym okiem postawnego i dostojnego kamerdynera, pilnującego, by wszyscy goście byli usatysfakcjonowani. Pod sufitem wisiały sztandary z herbami rozmaitych rodzin, spowinowaconych z Courtneyami.

Ze ścian spoglądały na uczestników przyjęcia liczne portrety nieżyjących członków rodu; wszyscy przodkowie obecnego właściciela budynku mieli jasne oczy i płowe włosy, takie jak on sam. Pomieszczenie ozdobione było pękami ostrokrzewu, bluszczu i jemioly, doczepiono je nawet do żelaznych żyrandoli zainstalowanych w suficie.

- Podobno dzisiaj, podczas przerwy w tańcach, kolędnicy mają dla nas grać i śpiewać kolędy - szepnęła Isabel do Rose. - Wspomniałam Anthony'emu, że powinniśmy ich zamówić. On

nie chce w niczym ustępować pannie Courtney, więc pewnie się zgodzi.

Goście stali cierpliwie, w oczekiwaniu na gospodynię. W końcu panna Courtney się zjawiała, a weszła do sali zaraz za mężczyzną dźwigającym wielką, srebrną tacę z głową dzika, któremu wepchnięto do pyska pomarańczę. Gdy taca trafiła na stół, gospodyni przywitała gości skinieniem głowy.

- Zaczynamy ucztę - powiedziała.

Nie musiała tego dwa razy powtarzać. Większość obecnych pospieszyła do stołu i bufetu, by zacząć napełniać talerze. Część panów momentalnie otoczyła barek, ochoczo racząc się winem, porto, brandy i sherry, a także gorącym ponczem z wielkiej misy.

Powstało okropne zamieszanie. W pewnej chwili Rose poczuła, jak chwyta ją czyjaś silna dłoń i wyciąga z tłumu ludzi. Dłoń, rzecz jasna, należała do Milesa.

- Uznałem, że trzeba cię ratować - wyjaśnił. - Z pewnością nie jesteś przyzwyczajona do świątecznego rozluźnienia obyczajów. Jeśli chwilę zaczekamy, tłum się rozproszy. Jedzenia jest w bród, wystarczyłoby dla kilkuset wygłodniałych wieśniaków, nic zatem nie stracimy, przepuszczając pierwszą falę.

- Chyba masz rację. Moje święta zawsze były bardzo ciche i spokojne. Nigdy dotąd nie spotkałam się z takim zjawiskiem. Na domiar złego nasza gospodyni zapowiedziała przyjęcie jako nieoficjalne.

- O ile się orientuję, nasza gospodyni słynie z wystawnych bankietów, które wydaje z okazji każdego ważniejszego święta. Poza tym ptaszki ćwierkały, że niewiele równie hucznych przyjęć czeka nas w tym domu. Courtneyowie mają problemy finansowe. Krążą pogłoski o przeprowadzce panny Courtney do wdowiego domku i drastycznym ograniczeniu przez nią wszelkich wydatków.

Mniejsza z tym. Widzę, że tłum się przerzedził, zatem proponuję podejść do stołu, by spróbować tych smakowitych dań.

Rose zapomniała o wszystkich swoich stanowczych postanowieniach dotyczących Milesa. Zaprowadził ją do stołu, przy którym zapełniła talerz plastrami mięsa z dzika, udkiem kurczaka, różnymi pasztetami, a także bułkami i masłem. Tak zaopatrzona, powędrowała za towarzyszem do małego stolika w rogu sali.

- Tutaj spokojnie zjemy - oznajmił. - Najpierw jednak przyniosę coś do picia.

- Lemoniada dla mnie - poprosiła Rose, czując, że dla własnego dobra powinna unikać mocniejszych napojów.

- Może jednak poncz? - zasugerował, zabawnie przekrzywiając głowę. - Koniec końców, mamy Gwiazdkę.

Rose ustąpiła niespodziewanie łatwo.

- Niech będzie, ale tylko małą czarą.

- Oczywiście, moja droga.

Patrzyła, jak odchodzi i bez trudu toruje sobie drogę przez tłumek, zgromadzony wokół barku. Och, gdyby tylko mogła zaufać temu mężczyźnie... A właściwie, gdyby tylko mogła zaufać sobie. Na szczęście wśród tylu ludzi czuła się bezpiecznie. Tutaj nic jej nie groziło, ani z jego, ani z niczyjej innej strony. Ledwie to pomyślała, przy stoliku wyrósł major Scriven, który najwyraźniej spożył lunch w płynnej postaci.

Na widok samotnej dziewczyny majora ogarnęło zauważalne podniecenie. Jego żona siedziała już przy innym małym stoliku, między Anthonym a Isabel, co w mniemaniu majora było równoznaczne z udzieleniem mu przyzwolenia na podejście do Rose.

- Nasza piękność siedzi całkiem sama! - wykrzyknął, potrząsając na wpół opróżnionym kieliszkiem brandy. - Jakże to? Czy wszyscy kawalerowie w tej sali nagle oślepli?

Opadł na puste krzesło naprzeciwko Rose i postawił kieliszek tak energicznie, że alkohol prysnął na gładki blat. Po chwili major wyciągnął rękę, usiłując chwycić dłoń Rose, gdy podnosiła bułkę do ust.

Rose odsunęła się gwałtownie, a major spojrział na nią z ukosa.

- Rety, rety, nie ma powodów do nieśmiałości, droga panienko - wybełkotał. - Chyba nie zamierza pani odgrywać pierwszej niewinnej? Zwłaszcza że pani dawny kochanek, Attercliffe, znalazł się dziś w naszym gronie. Ciekawe, czy przyszedł tutaj, by panią odzyskać?

Attercliffe! Był tutaj? Z pewnością na zaproszenie panny Courtney. Przecież jego matka była z domu Courtney! Mieszkając z dala od wielkiego świata, panna Courtney nie miała pojęcia, że jej kuzyn nie bywa już zapraszany.

Rose całkiem straciła apetyt. Teraz w jej głowie kołatała tylko jedna myśl: obrócić się na pięcie i uciec, gdzie pieprz rośnie. Gdyby wiedziała, że Attercliffe będzie obecny na przyjęciu, symulowałaby migrenę lub inną dolegliwość, byle tylko nie zjawić się w Courtney House i uniknąć konieczności oglądania tego człowieka.

Czy mogła to zrobić teraz? Czy mogła poprosić pannę Courtney, by pozwoliła jej udać się do prywatnego pokoju na odpoczynek? Może wystarczyłoby zasłonić się nagłą niedyspozycją? Cóż, takie rozwiązanie miało wady; automatycznie przyznałaby się do winy, do chęci ukrycia się przed ludźmi.

Major cały czas coś mamrotał. Najwyraźniej zalecał się do Rose. Czyżby to Attercliffe ją wydal? A jeśli nie on, to kto? Jeszcze nie tak dawno temu uznałaby zapewne, że to robota Milesa - teraz wykluczyła tę ewentualność. Rozejrzała się z niepokojem, cały czas ignorując majora. Liczyła na to, że w końcu się zniechęci i odejdzie. Dostrzegła powracającego do

stolika Milesa, za którym kroczył lokaj z napojami na tacy. Czyżby nieoczekiwana odsiecz?

Gdzieżby! Za lokajem szedł Attercliffe we własnej osobie. Wyglądał starzej, choć nie tak źle, jakby się można było spodziewać po tylu latach hulanki. Czy ją dostrzegł? Bardzo krótko żywiła nadzieję, że nie. Najwyraźniej wszystko sprzysięgło się przeciwko niej.

Miles dotarł do stolika i spojrzał krytycznie na majora, którego obecność wyraźnie wyprowadziła Rose z równowagi. Mimo wczesnej pory Scriven ledwie trzymał się na nogach. Miles postanowił go zignorować. Usiadł i patrzył, jak lokaj stawia napoje na stoliku.

Rose tak zbladła, jakby miała za chwilę zemdleć. Miles podsunął jej wypełnioną ponczem szklaną czarę z wyłobionym z boku rysunkiem Bachusa. Nadal celowo ignorując majora, wznosił swojego drinka i oznajmił:

- Na zdrowie, panno Charlton!

Rose uśmiechnęła się blado, na co Miles postanowił ją rozbawić:

- Muszę panią poinformować, panno Charlton, że tradycyjnie przyjętą odpowiedzią na taki toast jest: „Na zdrowie!”.

- Ach tak. - Westchnęła i odparła grzecznie: - Na zdrowie, sir Miles.

- Wyśmienicie, panno Charlton.

W tej samej chwili Attercliffe przystanął obok ich stolika i usłyszał, jak major mówi głośno":

- A cóż to wszystko ma znaczyć. Panna Charlton? Sir Miles? Wszystkim dobrze wiadomo, że Rose i Miles czekają za dnia, by w nocy zmienić się w ukochaną i najmilszego.

- Panno Charlton, czy zna pani choć jeden powód, bym nie znokautował tego osobnika?! - wykrzyknął rozsierdzony Miles.

- Tylko taki, że już bezpowrotnie stracę dobre imię - zauważyła Rose. - Zresztą, jaki byłby pożytek z takiego rozwiązania? Niemniej bardzo dziękuję za propozycję.

Major Scriven zarechotał urągliwie.

- Tylko nie próbujcie mydlić mi oczu! Służący Attercliffe'a zdradził mi pikantne szczegóły waszej... - chciał mówić dalej, lecz Attercliffe przerwał mu stanowczo:

- To nie miejsce ani czas na takie wynurzenia, Scriven. Nie będziesz rozpowszechniał wstrętnych i kłamliwych plotek.

- A to dobre! - parsknął major. - Biorąc pod uwagę waszą reputację, twoją i tej damy...

Tym razem urwał nie z powodu zwróconej mu uwagi, lecz dlatego, że Attercliffe chwycił go mocno za kołnierz, obrócił i wyprowadził na oczach zainteresowanych gapiów. Wychodząc, odezwał się jeszcze do Rose:

- Pozwól, że uwolnię cię od towarzystwa tego kłopotliwego gburą.

Gdy obydwaj mężczyźni zniknęli za drzwiami, Miles spojrzął na Rose i pomyślał, że wygląda tak, jakby lada chwila miała zemdleć.

- Mam wrażenie, że twoje samopoczucie nie jest najlepsze - zauważył, choć sam był blady jak kreda. - Czy mam spytać pannę Courtney, gdzie możesz w ciszy i spokoju odpocząć?

Rose z trudem dobierała słowa.

- W żadnym wypadku - westchnęła. - Za sprawą mojej obecności doszło do wielce nieprzyjemnej sytuacji, przez co większość zgromadzonych gości nie odrywa ode mnie wzroku. Uciekając, postąpiłabym wyjątkowo nierozsądnie. Takie zachowanie byłoby równoznaczne z przyznaniem się do winy i wykluczono by mnie z życia towarzyskiego. Chciałabym kontynuować posiłek, jakby nigdy nic. Jeśli

uznasz, że przebywanie przy mnie jest dla ciebie kłopotliwe, nie będę ci miała tego za złe.

Miles zmełł w ustach przekleństwo.

- W żadnym wypadku nie zostawię cię teraz na pastwę podejrzliwych spojrzeń i szeptów, będących oczywistą konsekwencją haniebnego zachowania Scrivena. Żałuję natomiast, że nie skorzystałem z okazji, by osobiście cię obronić przed pijanym natrętem. Attercliffe uprzedził mnie. Muszę wyznać, że choć wiem, jaką grę toczy major, nie jestem pewien intencji Attercliffe'a.

Mając w pamięci wydarzenia sprzed ośmiu lat, Rose była zaskoczona wyczynem Attercliffe'a. Z całą pewnością nie takiego zachowania się po nim spodziewała. Wystąpił w jej obronie, co ją zdumiało równie mocno, jak jego obecność w Courtney House.

Jeśli chodzi o Milesa, jego wsparcie należało uznać za jedyną dobrą rzecz, która wynikła z okropnego incydentu. Ich ponowne spotkanie w zamku Morton nie zapowiadało takiego obrotu spraw. Rose nie wiedziała, skąd wzięła się ta zmiana poglądów Milesa, i mogła tylko żywić nadzieję, że nie będzie ona chwilowa.

Rozumiała jednak, że Miles po namyśle mógł dojść do wniosku, iż nie powinien utrzymywać przyjacielskich relacji z kobietą, której reputacja ucierpiała tak bardzo, że jakiś mężczyzna, do tego pijany, obraża ją publicznie. Szkoda, że nie mogła całkiem zniknąć, niczym niedobra wróżka z pantomimy, którą oglądała w Drury Lane. Rzecz jasna, nie czuła się niedobrą wróżką, lecz wszystkie osoby zainteresowane mogły wyrobić sobie zupełnie odmienne przekonanie.

Tymczasem Miles po raz pierwszy uświadomił sobie, co czuje do Rose Charlton. Tak bardzo mu na niej zależało, że gdyby mógł wyzwać majora Scrivena na pistolety o świcie, by

pozbyć się go raz na zawsze, z pewnością uczyniłby tak bez wahania. Powstrzymywała go tylko świadomość, że podobny uczynek jeszcze bardziej by zaszkodził reputacji Rose.

Nie wierzył już, że ma do czynienia z uwodzicielką, lekkoduchem, osobą moralnie wątpliwą - słowem, kobietą upadłą. Z jej zachowania wywnioskował, że jest odważna i szczerą. Chętnie zrobiłby wszystko, by ją ochronić przed nieprzyjemnymi plotkami, nieuniknionymi po zjawieniu się Attercliffe'a i jawnych oszczerstwach majora.

- Masz słuszność, pozostając na placu boju - pochwalił ją.
- Ucieczka nic by nie dała. Dołożę wszelkich starań, żeby już nigdy nie zagroziły ci tego rodzaju obelgi.

- A zatem złapałam cię w swoją sieć. - Uśmiechnęła się.

- Cóż za rozkosz być w twojej niewoli. Odwagi, moja droga, diabeł legł trupem, jak mawiali starzy wojacy, więc niech pamięć o nim przeminie. Tobie pozostawiam ocenę, czy diabłu było na imię Attercliffe, czy Scriven. Jedz lunch, by nikt nie pomyślał, że ostatnie wydarzenia cię poruszyły. Gdy opróżnisz talerz, przyniosę ci parę kawałków egzotycznych ciast, a do nich kieliszek madery. Chcę zobaczyć, jak na twoich pobladłych policzkach wykwitają różane rumieńce.

Traktował ją tak przyjaźnie! Poczwała, że ma łzy w oczach. Próbowwała zastosować się do jego rad i skubała smakowite potrawy, a on nieprzerwanie mówił o wszystkim, co mu przyszło do głowy. Goście powoli przestawali się nią interesować. Attercliffe rozmawiał z panną Courtney, major i jego żona znikli. Ludzie przestali plotkować o pannie Rose Charlton i skupili się na innych tematach.

Rose nie miała złudzeń: to nie był koniec problemów. Ani Anthony, ani Isabel nie wybaczą jej tego, że stała się przyczyną skandalu na wielkim przyjęciu u ich przyjaciółki. I rzeczywiście, kiedy Miles poszedł po obiecane ciasta i maderę, Isabel zbliżyła się, nieprzyjemnie zaciskając usta.

- Cóż, spełniły się najgorsze obawy Anthony'ego - zaczęła. - Twoja obecność doprowadziła do potwornego zamieszania. Major Scriven wykrzykiwał obelgi pod twoim adresem, wypominając ci fatalną reputację, gdy służba panny Courtney prowadziła go do stajni, by wyleczył się z opilstwa za pomocą wiadra zimnej wody. Potem trafił do łóżka, gdzie poleży tak długo, aż będzie mógł samodzielnie opuścić ten dom. Tak czy owak, zła nie da się już cofnąć. Zasugerowałam panie Courtney, że do czasu wyjazdu powinnaś odpocząć w jednym z apartamentów na górze. Biorąc pod uwagę wszystko to, co się zdarzyło, nie powinnaś uczestniczyć w tańcach. Moje słowa spotkały się z pełnym zrozumieniem naszej gospodyni. Naturalnie, do chwili opuszczenia apartamentu niczego ci nie zabraknie. Mam nadzieję, że powodowana rozsądkiem, przystaniesz na tę propozycję.

- Chyba muszę się zgodzić - odparła niechętnie Rose. - Najwyraźniej nie pozostawiasz mi wyboru.

Isabel zaśmiała się nieszczerze.

- Przez ciebie wyszłam na idiotkę w oczach Anthony'ego. Po powrocie do domu postanowimy, co dalej. Gdyby nie Wigilia, już jutro raniem opuściłabyś zamek, lecz nie chcę, by ludzie mówili, że wyrzucamy się z domu na Boże Narodzenie.

- A co z majorem? - spytała spokojnym głosem Rose. - I z lordem Attercliffe'em? Czy oni też poniosą karę?

- To nie twoja sprawa, lecz powinnaś wiedzieć, że major Scriven to stary przyjaciel Anthony'ego, alkohol nieco przyćmił jego umysł. Jestem pewna, że raniem pożałuje swojego zachowania, lecz nie oczekuję od niego przeprosin. Jeśli chodzi o lorda Attercliffe'a, pozostaje on w gościnie u naszej kuzynki i nie ma powodu szorstko go traktować. Ach, oto twoja pokojówka i tutejsza służąca, będą ci towarzyszyły. Później powrócimy do tej rozmowy.

Nie chcąc wszczynać zamieszania, Rose musiała zastosować się do polecenia. Miles wciąż stał przy barku, czekając na swoją kolej, zatem nie mogła nawet się z nim pożegnać i podziękować za życzliwość. Podążyła za obydwoma kobietami, nie odwracając się za siebie, i w związku z tym nie widziała, jak Miles wraca ze słodyczami i kieliszkiem madery, by przy stoliku ujrzeć Isabel Morton.

Miles odłożył talerz i postawił kieliszek.

- Gdzie Rose? - spytał niezbyt uprzejmie, na co Isabel oblała się rumieńcem.

- Panna Courtney doszła do wniosku, że ze względu na okoliczności najlepiej będzie, jeśli Rose uda się do apartamentu na piętrze. Gospodyni prosiła, bym wyjaśniła zainteresowanym, że Rose jest chora.

- Doprawdy? A jak długo, jeśli można spytać, Rose ma pozostać w odosobnieniu?

- Do czasu naszego powrotu na zamek. Dla dobra panny Courtney nie możemy ryzykować następnych incydentów.

- W tym wypadku twoje dobro zapewne również jest brane pod uwagę.

Miles wiedział, że tak zaaranżowana sytuacja jest gwoździem do trumny, jeśli chodzi o reputację Rose.

Miał ochotę oznajmić, że skoro tak, to on jutro z rana opuszcza Courtney House i zamek Morton, lecz nie wątpił, że taka demonstracja tylko pogorszyłaby opinię Rose.

Pragnął jak najszybciej ujrzeć Rose. Postanowił porozmawiać ze służącymi; kilka monet powinno rozwiązać im język. Tylko oni mogli mu powiedzieć, gdzie przetrzymywano młodą damę skazaną na tymczasową banicję.

Rzecz jasna, nie mógł od razu ruszać na poszukiwania, bo to wzbudziłoby podejrzenia. Póki co zamierzał pokręcić się wśród gości i zamienić z nimi parę słów. Chciał porozmawiać nawet z panną Courtney, która z pewnością wykonywała tylko

polecenia Isabel Morton, lecz była winna okrucieństwa niegodnego chrześcijanki.

Zgodnie z przewidywaniami Milesa jeden z lokajów wykazał daleko idącą życzliwość w zamian za drobne wynagrodzenie. Doskonale wiedział, gdzie przetrzymywano wygnaną.

- Trzeba wejść głównymi schodami na piętro i dalej w prawo. Tę biedną młodą panią umieszczono w jednym z lepszych apartamentów. Ochmistrz oznajmił, że młoda dama źle się czuje i musi poleżeć.

Miles zastukał do drzwi apartamentu, lecz odpowiedziała mu cisza. Czyżby Rose uciekła? A może spała? Ostrożnie otworzył drzwi i znalazł się w małym przedpokoju, połączonym z korytarzem, który prowadził na prawo. Usłyszał dwa głosy. Jeden z nich należał do Attercliffe'a.

Miles znieruchomiał. Czyżby te wszystkie okropne opowieści na jej temat były prawdziwe? Czy ona i Attercliffe rzeczywiście byli kochankami? Choć Miles uważał, że podsłuchiwanie nie przystoi dżentelmenowi, pozostał na miejscu, nie wchodząc do środka i nie wychodząc z apartamentu. Musiał usłyszeć, o czym mówi Rose.

- Nie, nie wyjdę - zakomunikował Attercliffe. - Najpierw wysłuchasz, co chcę ci powiedzieć. Musisz zrozumieć, że sprowadzają mnie tutaj wyrzuty sumienia.

Ta deklaracja wcale nie uspokoiła Rose, która odparła łamiącym się głosem:

- Proszę, odejść. Przecież narobiłeś już wystarczająco dużo złego. Nie możesz ciągle mnie krzywdzić. Pomyśl, jaką pożywką dla plotek jest twoja wizyta w tym apartamencie. W obecnej sytuacji nie możesz ze mną rozmawiać na osobności.

- Gdybym przemówił publicznie, nikt nie dałby mi wiary. Tylko my znamy prawdę. Błagam cię o wybaczenie, bo tylko dzięki niemu odzyskam spokojny sen. Jestem świadom, że nic,

co powiem, nie może przekreślić ogromnej krzywdy, jaką ci wyrządziłem. Byłem szalony, a na swoje usprawiedliwienie mam jedynie to, że desperacko pragnąłem cię poślubić nie tylko ze względu na twój majątek, lecz także dlatego, że zawsze marzyłem o takiej kobiecie. Moja fatalna reputacja moje ubóstwo, to wszystko oznaczało, że słysząc moje oświadczenia, twój ojciec wyśmiałby mnie i wykpił. Dlatego zastosowałem wybieg i cię porwałem. Świat nie wie i nie chce wiedzieć o twojej niewinności. Ludzie wolą wierzyć, że współpracowałaś ze mną z własnej i nieprzymuszonej woli. Skandal jest zawsze bardziej podniecający niż prawda, przecież uszanowałem twoją niewinność podczas tej szalonej ucieczki na północ, do Gretny...

- Dlaczego mi to mówisz?! - wykrzyknęła zdesperowana Rose. - Powtarzasz to, co doskonale wiem!

- Chcę się oczyścić, pragnę cię przekonać, że naprawdę cię wówczas kochałem, i nadal cię wielbię. Żałuję tylko, że kiedy mój uczynek wyszedł na jaw, nie potrafiłem przekonać towarzystwa ani uciszyć wtajemniczonej służby. Wkrótce stało się ze mną coś dziwnego. Rozchorowałem się, a gdy odzyskałem siły, po raz pierwszy postanowiłem przemyśleć swoje zachowanie wobec innych, a w szczególności wobec ciebie. W konsekwencji ogarnął mnie wstyd, zrozumiałem, jak bardzo cię skrzywdziłem. Teraz wiem, że nawet moje największe wyrzuty sumienia i żal nie dorównują twoim cierpieniom. Od czasu tamtych zdarzeń usiłowałem prowadzić godne życie i chciałbym cię zapewnić, że to nie ja rozpowszechniam nowe plotki i budzę upiory uspięne od ośmiu lat. Ciężko pracowałem nad poprawą rodzinnej sytuacji. Teraz chcę naprawić szkody, które tobie uczyniłem. Wyjdź za mnie, Rose, byśmy wspólnie stawili czoło światu.

Na te słowa Miles drgnął, jakby chciał wejść do pokoju, lecz w ostatniej chwili zdołał się powstrzymać. Musiał poznać odpowiedź Rose.

- Wyjść za ciebie! - wykrzyknęła. - Nie, lordzie Attercliffe, jeśli rzeczywiście czujesz skruchę, przebaczam ci, jak przystoi dobrej chrześcijance, zwłaszcza podczas świąt Bożego Narodzenia, lecz nie mam ochoty więcej cię oglądać. Nie przesadzę, twierdząc, że przez ostatnie osiem lat nie ze swojej winy doświadczałam konsekwencji twojego egoizmu. A teraz odejdz natychmiast, proszę. Powiadasz, że sprowadziły cię tu wyrzuty sumienia, a oświadczając mi się, masz nadzieję naprawić błędy. Za późno. Przeszłości nie da się wymazać, nie sposób też zapomnieć o kłamstwach, którymi raczyłeś mojego ojca.

Na te słowa Miles wkroczył do pokoju, w którym Rose stała przed Attercliffe'em.

- Tak jest, wyjdź i zostaw nas w spokoju - rozkazał. - Niezwłocznie. Nie chcę wyrzucać cię siłą, bo nie zależy mi na następnym skandalu, który mógłby jeszcze bardziej zaszkodzić Rose. Wystarczy, że wiem, co zrobiłeś osiem lat temu i co robisz teraz. Wyjdź. Nic, co powiesz, nie może naprawić tego, co uczyniłeś.

Attercliffe nawet nie próbował skrywać wstydu i żalu.

- Podtrzymuję wszystkie swoje słowa - odparł. - A także propozycję małżeńską, złożoną pannie Charlton.

- Czcza gadanina. Wielokrotnie dowodziłeś, że twoje deklaracje są niewarte funta kłaków. Nie broń się, próżny trud.

Attercliffe otworzył usta, lecz na widok niezłomnego spojrzenia Milesa zwiesił głowę i ruszył do wyjścia. Na progu przystanął jeszcze i popatrzył za siebie.

- Nigdy cię nie zapomnę, Rose - szepnął.

- Słyszałeś?

- Niemal wszystko. Och, Rose, jak mogłem wątpić w twoje słowa?

- To nic nowego, wszyscy w nie wątpili. Zdziwiłabym się, gdyby ktokolwiek mi uwierzył. Nawet mój ojciec i dziadek uważali, że wyjechałam z Attercliffe'em z własnej woli. Dlaczego ty miałbyś sądzić inaczej?

- Słusznie zawstydzasz mnie swoimi słowami. Musisz jednak zrozumieć, że od kiedy cię poznałem, wierzę, że kobieta, na której mi zależy, nie mogła zachować się tak, jak głoszą plotki i Oliver Fenton.

- Mogłabym się bronić - oznajmiła ostrożnie. - Mogłabym wyjaśnić, że Oliver Fenton kłamie, ale tego nie zrobię. Tego rodzaju taktyka nigdy nie skutkowałą w przeszłości, dlaczego więc miałaby sprawdzić się teraz?

Rose przemknęło przez myśl, że dopiero wyznanie winy Attercliffe'a przekonało Milesa do jej niewinności. To jej nie wystarczało.

- Proszę mnie zostawić samą, sir Milesie. Chciałabym przemyśleć pewne sprawy.

Ten oficjalny ton zranił Milesa do głębi. Pragnął ją pocieszyć, lecz widział, że nie pociechy jej trzeba, ani od niego, ani od nikogo innego.

- Nie powinnaś zostawać sama. Nie po rozmowie z Attercliffe'em i odrażającym incydencie ze Scrivenem.

- Jestem zmęczona - zakomunikowała. - Mam dość sytuacji, w której wszyscy dookoła świetnie wiedzą, co dla mnie najlepsze. Choć raz pozwól mi samodzielnie ocenić sytuację. To chyba niewygórowane żądanie?

Miles pomyślał, że Rose niepotrzebnie się upiera, ale najwyraźniej była wyczerpana. Gdyby naciskał zbyt mocno, zapewne załamałaby się kompletnie. Nie potrafił sobie wyobrazić ewentualnych następstw takiej sytuacji.

- Dobrze, skoro tego sobie życzysz.

- Tak, tego sobie życzę. I pamiętaj, że nikt nie może zobaczyć, jak stąd wychodzisz.

- Nie zapomnę - zapewnił. - Rose, wierz mi, jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa. Jutro, gdy dojdiesz do siebie po dzisiejszych przejściach, spojrzysz na pewne sprawy z innej perspektywy.

- Kto wie.

Teraz pragnęła tylko spać, zapomnieć, wyleczyć rany, a nie mogła tego uczynić do czasu powrotu do zamku Morton. Wyobrażała sobie, co Isabel i Anthony mogą jej powiedzieć w drodze powrotnej. Obiecała sobie, że nie będzie się usprawiedliwiać. Wyznanie Attercliffe'a nadeszło zbyt późno, by jej dopomóc. Przypomniła sobie, jak chwalił się przed jej ojcem, że podczas podróży na północ uczynił z niej swoją kochankę i że ona namawiała go do ślubu, by ratować swoją reputację.

- Przecież zostanie lady Attercliffe - oznajmił wówczas. - A to nie byle co.

Na próżno zapewniała wszystkich o swojej niewinności. Dzisiejszego wieczoru musiała zapomnieć o tamtych wydarzeniach, a jutro... cóż, to zupełnie inna historia, o czym przekona się sir Miles Heyward.

Miles uklonił się i wyszedł. Nareszcie przyznał sam przed sobą, że kocha Rose, a to oznaczało, że powinien ją chronić za wszelką cenę. Ponadto był zmuszony natychmiast ją opuścić, gdyż dręczenie jej w obecnej chwili graniczyło z okrucieństwem. Tylnymi schodami powrócił na przyjęcie, by nikomu nie przyszło do głowy, że odwiedził Rose. Bal już trwał w najlepsze. Miles przysiadł w rogu, z dała od ludzi, i patrzył, jak inni się bawią. Sam wolał podumać nad tym, jakimi słowami oświadczyć się Rose, rano, zaraz po śniadaniu.

Uznał, że dobrze postąpiła, wypraszając go z pokoju. Zachowałby się zupełnie bez klasy, gdyby oświadczył się jej

natychmiast po tym, jak Scriven ją obraził, a Attercliffe narzucił się z niestosownymi propozycjami małżeńskimi.

Na szczęście jutro wstanie zupełnie nowy dzień, pomyślał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pokój śniadaniowy w zamku Morton świecił pustkami, kiedy Miles zjawił się w nim wczesnym rankiem. Dzień był mroczny i ponury, a służący oświadczył, że miejscowi spodziewają się opadów śniegu.

- Podobno to dobry znak, gdy na Gwiazdkę śnieży - dodał.

Miles zapełnił talerz i zaczekał, aż lokaj naleje kawę do filiżanki, choć wcale nie miał ochoty jeść ani pić. Kiedy zmuszał się do przełknięcia śniadania, które rosło mu w ustach, do pomieszczenia weszło kilku gości. Nie było wśród nich Rose. Pomimo braku apetytu Miles nałożył sobie jeszcze jeden talerz różności i wypił następną kawę, choć równie dobrze mógłby przeżuwać słomę i popijać ją wodą.

Zauważył, że pod nieobecność gości personel zamku przyozdobił jadalnię - a zapewne także inne pomieszczenia - świątecznymi dekoracjami, głównie ostrokrzewem, bluszczem, jemiolą i misami z ciemiernikiem. Brakowało tylko najpiękniejszej ozdoby świąt: Rose. Niepokoiła go jej nieobecność. Uznał, że mógł się z nią minąć, bo zjadła wcześniej niż zwykle, a teraz siedziała w bibliotece lub wróciła do pokoju. Wstał i wyruszył na jej poszukiwania.

W opustoszałej bibliotece nie zastał Rose; ułożone na stołach gazety były nietknięte. Po uciechach wczorajszego dnia większość gości nadal spała. Pobiegnął na górę i zastukał do drzwi jej pokoju. Odpowiedziała mu cisza. Załomotał ponownie. Nic się nie zmieniło.

W takiej sytuacji pozostało mu jedynie wejść do środka. Apartament był pusty, podobnie jak biblioteka. Nie dostrzegł żadnych śladów obecności Rose.

Zaklął pod nosem i popędził na dół. Czy to możliwe, że Rose opuściła zamek Morton? Wykluczone, było zbyt wcześnie. Poza tym dokąd miałyby jechać w Wigilię? No

jasne, że do domu, cymbale, skarcił się w duchu, zły na siebie. Co mogło ją tu zatrzymać? Na pewno nie Miles Heyward.

Oby się mylił. U stóp schodów natknął się na Isabel, która wymachiwała w powietrzu jakimś listem.

- Wiesz, gdzie może przebywać panna Charlton? - spytał. Isabel jęknęła.

- Dobre pytanie. W drodze do domu Anthony rozmawiał z nią o wczorajszym incydencie. Rzecz jasna, był to jego obowiązek. Przed chwilą znalazłam ten list, wsunięty pod drzwi mojej sypialni. - Ponownie machnęła kartką, tym razem przed nosem Milesa.

- Napisała, że skoro jej obecność stała się dla nas kłopotliwa, postanowiła zrobić nam uprzejmość i natychmiast wyjechać, byśmy mogli w spokoju cieszyć się świętami.

- Mieszka w Nottinghamshire, prawda?

- Na północ od Mansfield, nieopodal Newstead Abbey.

- Dziękuję. Wybacz, ale muszę się zbierać.

- Jak to, opuszczasz nas?

- Naturalnie. Uściskaj ode mnie Anthony'ego i powtórz mu, że nie mogę pozwolić, by panna Charlton jechała do domu w Wigilię bez stosownej eskorty, zwłaszcza że spodziewane są intensywne opady śniegu. Zamierzam udać się jej śladem, a dogoniwszy ją, poproszę o rękę.

- Ale co powie Anthony na twój pomysł? Przecież jej reputacja nieodwracalnie legła w gruzach.

- Jego zdanie nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, podobnie jak dla panny Charlton. Życzę wam obojgu takich świąt, na jakie zasłużyliście. A teraz pora na mnie, nie mam czasu do stracenia.

Zaskoczona i urażona Isabel nie zdążyła zebrać myśli, gdyż Miles momentalnie popędził na górę i polecił służącemu natychmiast pakować wszystkie rzeczy i przekazać reszcie

służby informację o przyspieszonym wyjeździe. Rose nie mogła mu umknąć.

Powóz Rose nagle stanął. Śnieg zaczął padać mniej więcej godzinę temu, z początku lekko, potem nieco intensywniej. Rose miała świadomość, że podróż drogą między Yorkiem i Londynem w czasie Bożego Narodzenia to niekoniecznie najrozsądniejszy pomysł.

Woźnica John załomotał w okno i Rose nacisnęła klamkę.

- Co się stało?

- Proszę o wybaczenie, panno Charlton, ale chyba powinniśmy zatrzymać się w najbliższym zajęździe. Warunki się pogarszają. Nie możemy ryzykować utknięcia na drodze bez możliwości powrotu ani kontynuowania podróży.

Rose pragnęła jak najbardziej oddalić się od zamku Morton i wszystkich jego mieszkańców, lecz nie zamierzała utkwąć w zaspie.

- Dobrze. Wiesz, gdzie znajduje się zajazd?

- Obawiam się, że spory kawał drogi stąd. Wiem o jeszcze jednym miejscu, dość blisko położonym. Ten zajazd zwie się Gate Hangs Well i w razie absolutnej konieczności możemy się tam zatrzymać. Mają stajnię dla koni, zwierzęta wypoczną przed dalszą podróżą. O ile później pogoda dopisze, rzecz jasna.

- Pozostawiam to twojej ocenie.

John tylko westchnął. Gdyby cokolwiek od niego zależało, z pewnością nie opuściliby zamku Morton przy tak niepewnej pogodzie, lecz panna Charlton uparła się, żeby wyruszać natychmiast, i nie docierały do niej żadne rozsądne argumenty.

Rose usiadła wygodniej na miękkiej kanapie. W powozie panował przejmujący ziąb. Najgorsze jednak było to, że Rose zaczynała żałować impulsywnej decyzji z wczesnego poranka. W dodatku coraz bardziej oddalała się od Milesa Heywarda.

Dlaczego nie mogła przestać o nim myśleć? Teraz, gdy gniew na Attercliffe'a minął, wciąż rozpamiętywała ostatnią rozmowę z Milesem. Czy jeszcze kiedykolwiek go ujrzy? Jeszcze nigdy dotąd żaden mężczyzna nie zdołał sprawić, że jej zimne jak lód serce zaczęło tajać.

Gdy ujrzała Milesa w zamku Morton, czuła do niego wyłącznie niechęć, bo doskonale pamiętała ich pierwsze spotkanie. Wówczas oskarżył ją o robienie Oliverowi Fentonowi złudnych nadziei, a następnie porzucenie go. Im częściej jednak widywała Milesa, bym bardziej ją fascynował, a wkrótce stało się jasne, że mimo jej wątpliwej reputacji, ona także wpadła mu w oko.

Wczoraj bronił jej odważnie, a potem pragnął pomóc, gdy nie mogła dojść do siebie po spotkaniu z Attercliffe'em. Wiedziała jednak, że z tej mąki nie będzie chleba. Nie mogła dopuścić do tego, by się jej oświadczył. Nie miała prawa oczekiwać od niego, że się zwiąże z kobietą, która nie ma wstępu na salony. Między innymi z tego powodu postanowiła jak najszybciej opuścić zamek Morton.

Żywiła nadzieję, że Miles o niej zapomni, choć sama nie mogłaby wyrzucić go z pamięci. Zadrzała, lecz nie z zimna, a na myśl o oczekującym ją pustym życiu.

Anthony Morton poszedł do stajni, by wyperswadować przyjacielowi pomysł pościgu za Rose.

- Nic dobrego z tego nie wyniknie - zapewniał go z przekonaniem. - Bez względu na to, dokąd się udasz, będziesz musiał liczyć się z możliwością scen podobnych do tej, której świadkami byliśmy wczoraj. Muszę szczerze wyznać, że kamień spadł mi z serca, gdy usłyszałem, że postanowiła opuścić zamek.

Miles z niesmakiem wykrzywił usta.

- A czy zasugerowałeś majorowi Scrivenowi, by również opuścił zamek? Koniec końców, to on się spił i był przyczyną sceny, jak to określiłeś.

Anthony milczał wymownie.

- Rozumiem zatem, że nie. Wybacz, ale nie będę przeciągał tego pożegnania. Jeśli mam dogonić Rose przed zmrokiem, muszę ruszać w drogę. Nadciągające opady śniegu z pewnością spowolnią jazdę.

Miles wskoczył do powozu. Przyjaciele go zawiedli, toteż niespecjalnie ubolewał nad rozstaniem. Żałował tylko, że dobry i miły człowiek, którym niegdyś był Anthony Morton, zmienił się nie do poznania.

Miles i jego służba wkrótce podążali drogą na południe od Yorku. Rozpadał się zapowiadany śnieg, który musiał sprawić, że Rose podróżowała wolniej. Zachodziło niebezpieczeństwo, że przy ograniczonej widoczności jej powóz wypadł z drogi i utknął w rowie. Milesa ogromnie zaniepokoiła ta myśl, lecz postanowił wziąć się w garść i nie zachowywać jak sparaliżowana strachem panienka lub rekrut tuż po poborze, wysłany na pole bitwy. Nie powinien zamartwiać się na wyrost.

Zatrzymywał się przy dwóch zajazdach, lecz w żadnym z nich nie dostrzegł powozu panny Charlton. Nim dotarł do trzeciego, rozpadało się wyjątkowo intensywnie. Tylko zbieg okoliczności sprawił, że dostrzegł powóz Rose, stojący przy wjeździe na podwórze przed trzecim, małym zajazdem.

Na skrzypiącym na wietrze szyldzie widniał napis: The Gate Hangs Well. Powóz zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi, przy których już się paliła latarnia. Miles pomyślał, że koniecznie musi spytać Rose, dlaczego zdecydowała się uciekać przed nim w tak koszmarną pogodę.

Nie szkodzi, że tego typu rozmowa nie będzie pasowała do świątecznego nastroju. Rose napędziła mu okropnego

strachu, wiedział, że nieprędko odzyska równowagę. Przede wszystkim musiał poinformować ją o tym, co sądzi na temat potajemnych ucieczek, a następnie pocałować tak mocno, by zaparło jej dech w piersiach!

Rose siedziała w głównej sali i zamawiała u właścicielki posiłek dla siebie i służby, kiedy do środka wparował Miles.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?! - ryknął. - Jak możesz ruszać w tak daleką podróż, przy okropnej pogodzie, a w dodatku w Wigilię Bożego Narodzenia!

Rose nie odrywała od niego wzroku. Czy tak powinien się zachowywać mężczyzna, o którym marzyła przez cały ranek?

- Nie uświadamiałam sobie, że muszę cię prosić o pozwolenie na podróż. - Jej głos brzmiał ponuro i lodowato, lecz w oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

- Rozumiem, że chciałaś opuścić zamek Morton, ale dlaczego mnie zostawiłaś? W dodatku bez słowa pożegnania - poskarżył się rozżalony.

Gospodyni, stojąca u boku bezradnej Rose, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

- Życzy pani sobie, bym kazała wyrzucić tego jegomościa? - spytała rzeczowo.

- Nie! - wykrzyknęli chórem Rose i Miles.

- Nie - powtórzył Miles. - Czy jesteś całkowicie pewna, że nie popełniasz błędu?

- Tak. Nie. Nie wiem - wymamrotała bez sensu Rose. Właścicielka zajazdu wzniosła oczy ku niebu i postanowiła zająć się bardziej przyziemnymi sprawami.

- Czy zamierza pan zatrzymać się u nas na noc? - spytała Milesa. - I czy pan oraz pańska służba zamierzają coś zjeść?

- Jeśli to możliwe.

- Mamy kilka wolnych pokoi, które powinny pomieścić pana i służbę, pod warunkiem, że nie jest zbyt liczna.

- Tak też powiedział mi mąż pani, kiedy przyjechałem - oznajmił Miles, zaczynając żałować wybuchu.

Nie miał jednak pojęcia, że na jego widok Rose ogarnął entuzjazm. Nie spodziewała się, że jej nowy przyjaciel wyruszy za nią w pościg. Ostatecznie poprzedniego dnia odrzuciła jego propozycję, a potem znikła bez słowa pożegnania. Co zatem oznaczało to nieoczekiwane przybycie?

Nie odważyła się nad tym zastanawiać. Zamiast tego skupiła się na rozmowie z właścicielką zajazdu, która spytała, czy panna Charlton ma ochotę zjeść z sir Milesem, czy też woli, by podać jej posiłek do pokoju.

- Ależ tak, chętnie zjem w towarzystwie sir Milesea, o ile nie wyrazi on sprzeciwu.

- Oczywiście, że nie wyrażę - burknął Miles i zapewnił gospodynię, że i on z wielką ochotą przekąsi coś razem z panną Charlton.

Gdy kobieta odeszła, by wydać stosowne polecenia w kuchni, Miles popatrzył na Rose.

- Nie sądzisz chyba, że pędziłem za tobą jak szalony drogą z Yorku do Londynu po to, by jeść w samotności? Zresztą musimy porozmawiać i wyjaśnić sobie to i owo - dodał, gdyż wciąż czuł niepokój, który ogarnął go w drodze.

- Nie jestem pewna, co masz na myśli.

- Jestem zmęczony nielogicznością, niekonsekwencją i absurdalnymi sytuacjami, których doświadczałem od czasu twojego przybycia do Yorkshire. - Zanim zdołała go powstrzymać, wyciągnął ku niej rękę, wziął ją w ramiona i natychmiast pocałował.

Dla Rose ta chwila była niczym powrót do domu, nadejście wiosny po długiej zimie, lub też... W następnej chwili jej myśli zupełnie się rozproszyły. Jakie to szczęście, że za nią przyjechał... Jak niemądrze sądziła, że Miles tylko się z nią bawi, by zapewnić sobie rozrywkę podczas nudnych

świąt... Zadrzała na myśl, że przez własne szaleństwo mogła utracić tak cudownego człowieka.

Miles odsunął się od niej, ciężko oddychając. Słodki zapach bijący od Rose, jej smukłe, miękkie ciało i... Dość! Wystarczy, że przed chwilą stracił panowanie nad sobą.

- Wiedźma! Co ty ze mną wyprawiasz?

- Kto, ja? - spytała Rose z niewinną miną. - O ile mnie pamięć nie myli, to ty się na mnie rzuciłeś, a nie ja na ciebie!

- W tym rzecz - potwierdził. - Co mam zrobić, by trzymać ręce przy sobie w twojej obecności, w sali, do której lada moment ktoś może zawitać?

- Cóż, zawsze możemy spróbować zachowywać się przyzwoicie - zapewniła go Rose. - Nie od rzeczy byłoby zacząć od tego, że się przesiądziesz na miejsce po drugiej stronie kominka. To chyba bezpieczny dystans.

- Spróbuję się zastosować do twoich rad. - Miles zajął wskazane krzesło. - Niemniej może to być trudne. A to co znowu?! - wykrzyknął, słysząc dobiegające z za okna odgłosy sprzeczki, zakończonej trzaśnięciem drzwi wejściowych.

Rose nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż zbliżyła się do nich gospodyni, trzymając w ręku menu, czyli brudną kartkę papieru z nabazgranymi nazwami potraw.

- Proszę wybaczyć hałasy - oznajmiła. - Niestety, niektórzy nie rozumieją słowa „nie”.

Rose i Miles za bardzo skupili się na rozszyfrowywaniu bazgrołów z tak zwanego menu, by poprosić o bardziej szczegółowe wyjaśnienia.

- Weźmiemy wszystko - zdecydował w końcu Miles. - Sami wybierzemy to, na co będziemy mieli ochotę. Na czas oczekiwania zamawiamy po kieliszku madery. Masz ochotę na maderę, prawda?

Rose zorientowała się, że od pewnego czasu jest gotowa zgodzić się ze wszystkim, co mówi Miles. Zdawało się jej, że

nie ma nic wspanialszego od siedzenia z nim przy ciepłym kominku i popijania madery lub czegokolwiek innego, co miałyby ochotę zamówić.

W taki sposób mijał im dzień. Po posiłku pozostali w sali i gawędzili. Co prawda, Miles się nie oświadczył, ale - zdaniem nieco rozochoconej Rose (z jednego kieliszka madery zrobiły się dwa) - zachowywał się tak, jakby już poprosił ją o rękę.

Opowiedział jej o tym, że marzy o przeprowadzce na wieś, gdzie pragnął zająć się eksperymentami hodowlanymi ze zwierzętami i z roślinami. Rose wyjaśniła, że nad posiadłością Charltonów w Nottinghamshire sprawuje pieczę zarządca, który sugerował właścicielom zainteresowanie się dokładnie taką działalnością.

- Najbardziej interesują mnie rośliny - wyjawiała.

- To wspaniale - uznał Miles - bo ja chciałbym prowadzić badania nad zwierzętami.

Oboje czuli się tak, jakby wraz z opuszczeniem zamku Morton zrzucili z rąk ciężkie kajdany i na nowo odkryli wolność. Doskonale się porozumiewali. Miles porzucił wszelkie podejrzenia, związane z rzekomo nieciekawą przeszłością Rose, ona zaś zaczynała dostrzegać prawdziwe oblicze mężczyzny, ukryte za maską chłodu, po którą Miles chętnie sięgał w krępującym go towarzystwie.

- Moja posiadłość w Nottinghamshire jest dobrze zarządzana - oświadczyła Rose. - Nie przypuszczam jednak, by mojego zarządcę, Earnshawa, interesowała poprawa jakości żywego inwentarza. Tuż przed śmiercią mój dziadek nieco eksperymentował, lecz Earnshaw nie kontynuuje jego badań.

Rose nie dodała, że gdyby się z Milesem pobrali, nie będą musieli kupować posiadłości. Mogli przecież osiąść na jej ziemi i kontynuować prace dziadka.

Ta deklaracja musiała zaczekać do oświadczyn - o ile Miles w ogóle zamierzał składać jej matrymonialną propozycję. Rose nie wiedziała, że Miles zwleka, bo nie chce się narzucać. Postanowiła więc prowadzić niezobowiązującą rozmowę, która wcale im się nie dłużyła, więc resztę świątecznego dnia spędzili przy kominku. Na dworze wiało coraz mocniej, nasiliły się też opady śniegu; stało się jasne, że przymusowy postój potrwa dłużej, niż planowali.

Zanim udali się do swoich pokoi na spoczynek, podeszli do okna i wyjrzeli na pogrążony w mroku krajobraz. Śnieg pokrywał świat grubą warstwą, lecz w końcu przestało padać. Na niebie zabłyśły gwiazdy i księżyc, chwycił mróz.

- Dzięki Bogu, że mój woźnica, John, nalegał, byśmy poszukali schronienia. Co by było, gdybyśmy ugrzęźli w zaspie i nie mogli jechać dalej?

Miles pokiwał głową.

- Lepiej o tym nie myśleć.

Gdy w końcu nadszedł czas na sen, postanowili spędzić noc osobno - dla przyzwoitości.

- Chociaż przecież jesteśmy tu z dala od rodziny, przyjaciół i plotek - zauważył Miles. - Kto więc miałby wiedzieć, co robimy?

- Przede wszystkim my sami - zauważyła rozsądnie Rose. Wiedziała już, jak to jest stracić dobrą opinię, i nie chciała ponownie ryzykować. Tak więc Jennie, jej pokojówka, oświetliła im świecą drogę na górę. Miles wyjaśnił, że pójdzie spać nieco później.

W sypialni w niewielkim kominku płonął ogień, lecz pomieszczenie było wychłodzone. Na szczęście w łóżku leżał już gorący termofor.

- Zimno tu - zauważyła Rose - ale lepiej spędzić noc pod dachem niż w powozie, prawda?

Jennie pokiwała głową.

- Albo w stodole przy stajni, jak ta dwójka biedaków, których gospodarz musiał odprawić z kwitkiem z braku miejsc. Właściciel zajazdu nic nie wie, że się tam skryli - chyba że już powędrowali szukać lepszego lokalu. Jeden ze stajennych mówił, że w ich powozie urwało się koło, niedaleko zajazdu.

Rose, która właśnie ściągała buty, natychmiast włożyła je z powrotem.

- Czy to prawda, Jennie? Jeśli tak, możemy przecież ustąpić im miejsca. Jestem pewna, że sir Miles przyzna mi słuszną.

Jak mogłaby spać spokojnie ze świadomością, że dwójka Bogu ducha winnych ludzi dygocze z zimna w lodowatej stodole?

Rose sięgnęła po szal, który wcześniej odłożyła na krzesło.

- Jennie, w którym pokoju ulokowano sir Milesa?
- Jego służący wspomniał, że naprzeciwko naszego.
- Zaczekaj tutaj. Muszę natychmiast z nim porozmawiać.
- Z tymi słowami wyszła na korytarz i zastukała do drzwi przyjaciela. Otworzył jej służący Milesa, Blagg. Wyglądał na zaskoczonego widokiem Rose.

- Chciałam zamienić słowo z twoim panem - oświadczyła.
- Przekażę mu - odparł Blagg i powrócił do środka. Chwilę później w drzwiach stanął Miles. Był w koszuli, zdjął krawat.

- Co z tobą, Rose? Wyglądasz na przejętą. Zawahała się. Co on sobie pomyśli, usłyszawszy jej propozycję? A jeśli odmówi pomocy?

- Mogę wejść? Nie chcę rozmawiać na korytarzu.
- Naturalnie, lecz dla przyzwoitości Blagg powinien z nami pozostać.
- Doskonale.

Gdy weszła do sypialni Milesa, wszystkie zakazy obowiązujące kobiety z wyższych sfer nagle znikły, podobnie jak obawy i wątpliwości.

- Drogi Milesie, właśnie mi powiedziano, że zajęliśmy ostatnie wolne pokoje. Tuż po nas przybyli podróżni, których powóz uległ uszkodzeniu i którzy szukali noclegu. Wiem od mojej służącej, że nieznajomi mają nocować w stodole, bez jedzenia, na mrozie, przy tak okropnej pogodzie. Jestem pewna, że gdyby poinformowano nas o odprawieniu ich z kwitkiem, udostępnilibyśmy im jeden z pokoi. Mogłabym zwolnić pomieszczenie zajmowane przeze mnie i Jennie.

- W rzeczy samej - przyznał Miles. - Tak nakazywałyby zwykła przyzwoitość. Co proponujesz?

- Może pójdziesz ze mną do stodoły, by sprawdzić, czy oni wciąż tam są, a jeśli tak, poprosimy gospodarza o zakwaterowanie ich w moim pokoju.

Nie zważając na obecność Blagga, Miles objął Rose i delikatnie ucałował ją w policzek.

- Raczej nie powinnaś mi towarzyszyć. Jest mróz, a stodoła to nieodpowiednie miejsce dla damy.

- Pozwól mi iść ze sobą. Pomyśl, wszak to moja wina, że zajazd jest przepelniony. Gdybym nie uciekła z zamku Morton i nie pędziła do domu jak szalona, nie wyruszyłbyś za mną, nie zajęlibyśmy wolnych pokoi, a gospodarz z radością ugościłby tych ludzi. Muszę im pomóc, bo, jak słusznie zauważyłeś, tak nakazuje przyzwoitość.

- Doskonale, lecz najpierw wróć do siebie, włóż buty i płaszcz. Potem przyjdź tu z powrotem. Ja też muszę się przygotować na spotkanie ze srogą zimą.

- Chyba nie wyolbrzymiam problemu, prawda? - spytała zaniepokojona, stojąc na progu. - Nie mogłabym zasnąć ze świadomością, że jacyś nieszczęśnicy marzną z mojego powodu.

Miles natychmiast do niej podszedł, objął ją i ponownie pocałował.

- Skąd, postępujesz słusznie. Chwali ci się, że myślisz o innych w sytuacji, w której tak niewielu ludzi kiedykolwiek myślało o tobie. Uważam, że powinnaś jeszcze owinąć szyję szalem, o ile nim dysponujesz.

Co za praktyczny mężczyzna, pomyślała radośnie Rose. Kiedy Jennie wyszukiwała ciepłą odzież i pomagała swojej pani się ubrać, przybyli kołędnicy.

Gdy Rose i Miles wychodzili z budynku i kierowali się do stodoły, wszędzie rozbrzmiewały wesołe przyśpiewki. Po drodze nie napotkali nikogo, gdyż służba, a także gospodarz z żoną, słuchali kolęd i popijali wino.

- Może powinniśmy wyjaśnić właścicielowi, co zamierzamy zrobić? - zapytała z wahaniem Rose.

Miles przecząco pokręcił głową. - Jeśli w stodole nikogo nie zastaniemy, wyjdziemy na głupców. Natomiast jeżeli ktoś tam będzie, zabierzemy go pod dach. Nie wyobrażam sobie, by gospodarz stwarzał trudności.

Gdy wyszli, śpiewy nieco przycichły. Podążyli przez podwórze do stodoły; zgodnie z oczekiwaniami na dworze nie spotkali nikogo. Rose zaczęła się obawiać, że nikogo nie znajdą, a cała wyprawa w poszukiwaniu zmarzniętych podróżnych okaże się zbędna.

Drzwi do stodoły były zamknięte. Miles otworzył je z trudem. Rose pomyślała, że sama nigdy by sobie z nimi nie poradziła. Dobrze się zatem stało, że poprosiła Milesa o pomoc. Po wejściu do środka nie zamknęli za sobą drzwi, by przyświecał im blask księżyca; mimo to w stodole było ciemno. Z odległego końca stodoły dobiegł ich szelest słomy.

Miles podszedł bliżej i uniósł wysoko świecznik.

- Hej, hej! - zawołał. - Jeśli ktoś tam się skrywa, niech odpowie. Przybywamy z pokojowymi zamiarami, chcemy pomóc, nie zrobimy nikomu krzywdy.

Przez moment panowała cisza, po chwili usłyszeli odgłos kroków. Z mroku wyłonił się mężczyzna średniego wzrostu, przyzwoicie ubrany w strój typowy dla rzemieślnika.

- Mówicie prawdę? - spytał niepewnie. - Nie przybywacie po to, by nas wyrzucić?

- Bynajmniej - zapewniła go Rose. - Przyszliśmy, by zaproponować wam pokój w zajeździe. Rozumiem, że jest was dwóch. Gdzie pański towarzysz?

Mężczyzna westchnął ciężko.

- Mój towarzysz to moja żona i choć to jeszcze nie pora, lada chwila urodzi dziecko.

Rose wysunęła się przed Milesa.

- Dziecko! - wykrzyknęła. - Gdzie ona jest? Mężczyzna machnął ręką w stronę ciemnego kąta.

- Tam. Przygotowałem jej prowizoryczne posłanie, żeby nie marzła, lecz obawiam się, że chłód może ją zabić, nawet jeśli nie dokona tego nadchodzący poród.

Rose pobiegła do kąta, w którym leżała wiązka słomy, a na niej ciężarna, przykryta dwoma ubogo wyglądającymi paltami: swoim i męża.

- Nie mogę jej zostawić samej - wyjaśnił mężczyzna - nawet po to, żeby iść do powozu po najniezbędniejsze rzeczy. Urwało się nam koło. Boję się, że dziecko przyjdzie na świat pod moją nieobecność. To nasz pierwszy potomek.

Rose wręczyła mężczyźnie świecznik, uklękła, wzięła kobietę za lodowatą rękę i delikatnie ją pomasowała. Nieznajoma była młoda i niewątpliwie ładna, choć teraz jej twarz przybrała barwę popiołu. Pojękiwała i drżała, zmarznięta na kość i wstrząsana skurczami zapowiadającymi rychły poród.

- Zaraz wszystko będzie dobrze - pocieszyła ją Rose. - Za chwilę wejdziemy do środka, tam jest ciepło, a dziecko bez problemów przyjdzie na świat. Trzeba natychmiast przenieść ją do pokoju - zwróciła się do Milesa. - Ktoś musi niezwłocznie sprowadzić położną, o ile mieszka w okolicy. Dacie radę wspólnie ją przetransportować?

- A co na to właścicielka zajazdu? - zawahał się mężczyzna.

- Lepiej dla niej, żeby nic nie mówiła - powiedziała groźnie Rose.

Miles spojrzał na bladą twarz mężczyzny.

- Od razu widać, że nic dzisiaj nie mieliście w ustach. Najlepiej będzie, jeśli sam przeniosę panią do domu.

- Byłbym ogromnie zobowiązany. Nie chciałbym jej upuścić.

Miles wręczył obcemu świecznik.

- Proszę potrzymać. Zabiorę pańską żonę do pokoju panny Charlton. A właśnie, jestem sir Miles Heyward.

- A ja nazywam się Walter Harshaw, sir Milesie, i brak mi słów, by wyrazić swoją wdzięczność pannie Charlton i panu. Już sądziłem, że żadne z naszej trójki nie dożyje jutrzejszego poranka.

- Jest Wigilia. - Miles uśmiechnął się do niego. - Poza tym nie tylko dzisiaj mamy obowiązek postępować jak chrześcijanie. A teraz proszę mi oświetlać drogę, postaram się przenieść panią do zajazdu, na piętro. Muszę bardzo uważać. Później spróbujemy znaleźć kogoś, kto pomoże przy porodzie.

Rose uniosła świecę. Walter Harshaw pozbierał palta i mały worek z drobiazgami, a Miles dźwignął kobietę i ruszył z nią do wyjścia.

Przeszli przez podwórze, słysząc dźwięki następnej kolędy i głosy pijanych uczestników zabawy. Rose stanęła przy schodach i zgasiła świecę.

- Idę do baru - zakomunikowała. - Powiem gospodarzom, by tym razem to oni spełnili chrześcijański obowiązek i zapewnili państwu Harshaw odpowiednie zakwaterowanie. Poza tym muszą poszukać położnej.

- Nie, Rose - zaprotestował Miles. - Zaczekaj na mnie. Nie wypada, byś sama pojawiła się w barze.

- Do diabła z zasadami. Pani Harshaw lada moment będzie rodziła, to przecież widać. - Natychmiast popędziła do gospodarzy, by zadbać o wygodę dwojga przestraszonych i zmarzniętych wędrowców, którym nawet w Wigilię nikt nie chciał pomóc.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miles wiedział, że dyskusja z Rose nie ma sensu. Była uparta i wiedziała, czego chce. Między innymi za to ją kochał.

Gdy dotarli do pokoju Rose, położył panią Harshaw na łóżku, następnie wspólnie z Jennie zadbał o jej wygodę. Mężowi polecił usiąść na krześle, a sam ruszył, żeby wesprzeć Rose w rozmowie z właścicielami zajazdu. Nie musiał jednak się fatygować. Ledwie dotarł do schodów, ujrzał Rose, za którą dreptała zadyszana gospodyni.

- Posłałam już umyślnego po lekarza ze wsi. Wkrótce powinni być tu obaj. Gdybym wiedziała, że biedna pani jest w ciąży, nie odmówiłabym jej schronienia.

Rose wyczuła, że właścicielka zajazdu kłamie, ale nic nie powiedziała. Miejscowi przebywający w zajezdzie natychmiast wstawili się za podróżnymi, więc gospodarze musieli ustąpić. Miles zamówił kolację i piwo dla pana Harshawa oraz ciepłe mleko dla jego żony. Ponad wszelką wątpliwość poród już się rozpoczął.

Rose pomogła pani Harshaw wypić mleko, potem trzymała ją za rękę, podczas gdy Jennie przecierała twarz rodzącej ściereczką. Rose i Jennie rozebrały panią Harshaw i naciągnęły na nią koszulę nocną Rose, a następnie podarły jedną z jej halek i zrobiły z niej prowizoryczny becik dla dziecka.

Potem pozostało im tylko czekać na lekarza. Przybył wkrótce. Poznawszy całą smutną historię obojga wędrowców, doktor zauważył z humorem:

- Matka i dzieciątko w stajence? Bardzo stosownie, przecież mamy Wigilię.

Miles i przejęty mąż ciężarnej musieli opuścić pokój, zaś Rose i Jennie awansowały na stanowiska położnych amateerek.

- Mną proszę się nie martwić, panno Charlton - oznajmiła młoda służąca. - Widziałam narodziny moich trzech braci i

sióstr, a przy ostatnim porodzie musiałam pomagać. Doskonale znam się na rzeczy.

Minęła północ i po krótkim, lecz trudnym porodzie na świat przyszła dziewczynka. Lekarz wręczył ją Rose, która zawczasu narzuciła ręcznik na swoją elegancką sukienkę, a teraz zawijała maleństwo w becik. Po zakończeniu pracy przekazała noworodka Jennie.

Służąca pogłaskała dziecko po ciemnych włoskach.

- Pamiętam, co mój ojciec mówił o rodzeniu dzieci. Jego słowa sprawdziły się co do joty: „Wystarczy tylko je łapać. Resztą zajmuje się Bóg i natura!”.

Oddała dziewczynkę Rose, która usiadła w fotelu i z zadumą patrzyła na czerwoną buzię noworodka i jego drobne rączki, przypominające małe rozgwiazdy. Tak bardzo polubiła maleństwo, że dopiero lekarz musiał jej przypomnieć, by oddała je matce, która powinna je nakarmić.

Pani Harshaw przystawiła popiskujące dziecko do piersi. Zapadła cisza. Na twarzy matki po raz pierwszy wykwitły rumieńce, i stało się jasne, że cud narodzin już odmienił zmęczoną kobietę.

- Chyba słyszałam, jak nieobecny tu dżentelmen zwracał się do pani „Rose”. Czy tak brzmi pani imię? - spytała szczęśliwa matka.

Rose przytaknęła.

- Jeśli pani pozwoli, chciałabym prosić o pozwolenie nazwania mojej córki Rose, na pani cześć.

- Nie musi pani prosić mnie o pozwolenie. To dla mnie zaszczyt.

Lekarz, który mył ręce w misce z gorącą wodą, przyniesioną na górę przez pracownicę Jennie, powiedział:

- Brakuje tylko kołędników. Gdyby jeszcze tu byli, moglibyśmy wspólnie świętować przyjście na świat bożonarodzeniowego dzieciątka.

Rose poszła po pana Harshaw, by przyszedł zobaczyć szczęśliwą żonę i dziecko. Gospodyni obiecała przynieść materac i koce, by świeżo upieczony ojciec mógł być z rodziną. Młodą mamę odwiedził też Miles, któremu pozwolono przez chwilę potrzymać noworodka.

- Świąteczna róża - powiedział i oddał dziecko matce.

Następnie ucałował uśmiechniętą Rose w policzek.

- Moja droga, od chwili gdy znaleźliśmy państwa Harshaw, zachowywałaś wyjątkowy spokój. Nie wpadłaś w histerię, okazałaś zdrowy rozsądek i wolę wykonywania poleceń lekarza.

- Nie zapomnij o Jennie. Ona też zachowała spokój. Na przemian biegałyśmy po schodach z gorącą wodą, a po porodzie Jennie podgrzała odrobinę zupy dla zmęczonej mamy. Całe szczęście, że przyszliśmy na czas, by przenieść matkę do zajazdu. Dobrze, że Jennie widywała porody rodzeństwa, a ja narodziny źrebiąt. Zadbaj o to mój dziadek, który uważał, że dobra gospodyni powinna widzieć, jak zwierzęta przychodzą na świat.

Uśmiechnięty Miles ponownie pocałował Rose. Już wcześniej obiecał panu Harshaw stanowisko kowala, kiedy się dowiedział o tym, że ich nowy znajomy stracił pracę w swojej wiosce i teraz jechał do jednego z miasteczek przy drodze do Yorku, gdzie podobno potrzebowano siły roboczej.

Wieczór dobiegał końca, lecz Rose ze zdumieniem przekonała się, że nie jest śpiąca. Nie omieszkała poinformować o tym Milesa, całkowicie ubranego, chociaż już dawno temu odesłał służącego do łóżka.

- To naturalne - odparł. - Po bitwie zawsze ogarniał mnie podobny nastrój. Człowiek czuje się wówczas tak, jakby jego ciało mogło wytrzymać jeszcze wiele godzin bez snu. Za to potem ma się ochotę spać choćby przez tydzień.

- A więc muszę jakoś przetrzymać tę falę entuzjazmu.

- Tak jest.

Rose spacerowała niespokojnie po pokoju Milesa, w którym się znalazła po udostępnieniu swojego pomieszczenia państwu Harshaw.

- Będę dzieliła pokój z Jennie - wyjaśniła. - Jeśli czuje to co ja, mój nastrój nie powinien jej przeszkadzać.

Miles pokręcił głową.

- Kiedy ty zajmowałaś się biedną panią Harshaw, ja porozmawiałem z gospodynią. Razem z Blaggiem spędzę noc w pokoju na strychu, gdzie prowizorycznie ustawiono łóżka. Ty zostaniesz tutaj, a Jennie zajmie wcześniejsze pomieszczenie Blagga. W efekcie każda z was otrzyma własny pokój. Zasłużyłyście na solidny wypoczynek.

- Oddajesz mi pokój, a sam wędrujesz na strych?

- Należy się wam odpoczynek.

Gdy Jennie powiedziała Rose o ludziach w stodole, Miles natychmiast zaoferował pomoc w ratowaniu zmarzniętych wędrowców, choć niejeden dżentelmen obruszyłby się na podobną sugestię. Z własnej woli odrzucił konwenanse i pospieszył z pomocą biednemu rzemieślnikowi oraz jego żonie. W dodatku rozmawiał z nimi uprzejmie i życzliwie jak z równymi sobie.

- Na jaką nagrodę zasługujesz w swoim mniemaniu, Milesie?

- Słucham? Na żadną. To ty zainteresowałaś się tymi ludźmi i przez całą noc byłaś na nogach, a nie ja.

- A zatem na co ja zasługuję? Tylko na zimne puste łóżko?

Rose odkryła nagle, że euforia owocuje beztraską. Właściwie dlaczego nie mogła wziąć tego, czego najbardziej pragnęła? Przez kilka godzin pomagała przyjść na świat owocowi miłości i namiętności i tak się zaangażowała, że sama zapragnęła doświadczyć tego, co pani Harshaw. Czy

może być coś lepszego niż tulenie do piersi własnego dziecka? Miles wydawał się zdezorientowany.

- Do czego zmierzasz, Rose?

- Skoro wszyscy uważają, że moja reputacja jest nieodwracalnie zszargana, nie rozumiem, czemu nie mogłabym zszargać jej naprawdę. Bez względu na to, czy pragniesz mnie poślubić, Milesie, czy też nie, byłabym zachwycona, gdybyś jeszcze tej nocy zechciał przyczynić się do zepsucia mojej opinii.

- Chyba nie mówisz poważnie, Rose... - wykrztusił.

- Przeciwnie, jak najpoważniej. Nie zamierzam kiedykolwiek ubiegać się o prawo wstępu na tak zwane salony. Jeśli mnie nie zechcesz, powrócę do swojej wiejskiej posiadłości i dokończę żywota jako ekscentryczna stara panna.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Miles. - To niedopuszczalne! Niemniej zanim przystąpię do dzieła, chyba powinienem się oświadczyć, prawda? W ten sposób zalegalizujemy to, co się za chwilę zdarzy. A może wolisz oświadczyły po fakcie?

- Zbyt późna pora na rozważanie takich drobiazgów - oznajmiła wyniośle Rose. - Skoro jednak poruszasz ten temat, wolę oświadczyły zawczasu, bo wiem, że w ten sposób cię uszczęśliwię.

Miles ukląkł na jedno kolano.

- Droga Rose, wyjdź za mnie i połącz kres mojemu nieszczęściu, bym nie dożył swoich dni jako stary kawaler, którego nikt nie chce znać. Na dowód swojej miłości daję ci to. - Z tymi słowami ściągnął sygnet z małego palca lewej ręki. - Przyjmij ten drobiazg i powiedz, że poślubisz mnie w najbliższym możliwym terminie.

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę, Miles. Kocham cię całym sercem. Uciekając dzisiaj rano, bałam się, że stracę cię na zawsze. Zaraz, uciekałam przecież wczoraj rano, czyż nie?

- Na całe szczęście wcale mnie nie straciłaś, chociaż dopiero po twoim nieoczekiwanym wyjeździe z zamku Morton dotarło do mnie, jak bardzo cię kocham. - Wstał. - A teraz, Rose, poproszę cię o lewą rękę.

Uśmiechnięta, wyciągnęła ku niemu dłoń. Przyjął ją i wsunął sygnet na jej palec.

- Rose Charlton - zaczął - biorę sobie ciebie za żonę, a na znak naszego związku ofiarowuję ci ten pierścień. Taką deklarację wygłaszali niegdyś moi przodkowie i oznaczała ona, że pod względem prawnym stali się małżeństwem. Biorąc powyższe pod uwagę, możesz spędzić tę noc w moim łóżku, nie po to, by rujnować sobie życie, lecz skonsumować obopólną miłość. Prawnicy i ksiądz udzielą nam ślubu, kiedy tylko uzyskam stosowne zezwolenia.

- Ja, Rose Charlton, biorę ciebie, Milesie Heywardzie, za prawowitego męża, i skoro straciłeś niepowtarzalną okazję zszargania mojej reputacji, uczynź mnie szczęśliwą w łóżku małżeńskim.

- Z ochotą, najdroższa, z ochotą.

- Teraz już nigdy nie będę samotnie przewracać się z boku na bok w zimnej pościeli.

Miles wziął Rose na ręce i zaniósł do łóżka. Rose pocałowała go w policzek, zanim ostrożnie ułożył ją na łóżku.

- Nie mogę się doczekać chwili, kiedy dowiem się, jak to jest być kobietą zamężną lub upadłą. Nawet bogata wyobraźnia nic tutaj nie poradzi.

- Racja - potwierdził Miles. - Postaram się zachowywać spokojnie, ale tak długo czekałem na ten moment, że musisz mi wybaczyć, jeśli będę zbyt gwałtowny jak na twoje upodobania. Zapragnąłem cię już wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałem cię w Londynie i uwierzyłem, że zdradziłaś Olivera Fentona. Nie powinienem był mu ufać; to dobry przyjaciel, niemniej zawsze wykazywał skłonność do przesady. - Miles

uśmiechnął się ze skruchą. - Sądzę, że moja złość na ciebie przy naszym ponownym spotkaniu w gruncie rzeczy była wymierzona przeciwko mnie, bo spodobała mi się kobieta, o której w towarzystwie krążyła określona opinia. Moja wściekłość minęła dopiero wtedy, kiedy się bliżej poznaliśmy.

Wkrótce oboje wsunęli się pod kołdrę, by tam oddać się pieścizotom. Rose odkryła, że szczególnie przyjemne są pieścizoty tych części ciała, o których damy nigdy nie rozmawiają.

Nie spodziewała się, że w takiej sytuacji mężczyzna tak samo zapomina o bożym świecie, jak kobieta. Z jego punktu widzenia nie robili niczego nowego, o czym wiedziała, i dlatego oczekiwała, że on lepiej zapanuje nad sobą. Nic z tego. Niespodziewanie chwycił jej zwinną dłoń i wyszeptał:

- Wystarczy, Rose, wystarczy. Jesteś na mnie przygotowana, zatem ja muszę być gotowy na ciebie. Spróbuję nie zrobić ci krzywdy.

Uniosła rękę i przywarła do niego mocno.

- Och, Milesie - wyszeptała - tak bardzo cię kocham.

Gdy to mówiła, on w nią wszedł po raz pierwszy. Rose zacisnęła zęby, czując nieuchronny ból, lecz wkrótce zmienił się on w rozkosz. Po raz pierwszy doświadczyła pełnego i całkowitego zjednoczenia z ukochanym.

Później, wyczerpani miłością i długim dniem, leżeli cicho, przytuleni do siebie.

Rose westchnęła, na co Miles uniósł się i oparł na łokciu.

- Mam nadzieję, że nie żałujesz - powiedział. - Chyba nie bolało cię zbyt? Nie powinienem był tak się spieszyć...

- Nie żałuję i nie bolało - odparła, kładąc głowę na jego szerokiej piersi. - A jak ty się czujesz?

- Ja? Znakomicie. - Nie wyjawiał, jaka radość go ogarnęła, gdy się okazało, że jego przyszła żona jest dziewicą. Bez wątplenia nie zaznała wcześniej rozkoszy z żadnym

mężczyzną. - Dzisiejszej nocy nie będę cię już niepokoił - szepnął. - Mieliśmy ciężki dzień, a poza tym musisz odpocząć po tym wstępie do rozkoszy małżeńskich.

Objął Rose i zapytał:

- A jeśli dzisiejsza noc zaowocuje dzieckiem, jak się będziesz czuła?

- Wspaniale - odparła, już bardzo senna. - Poród i poczęcie tego samego dnia, w Wigilię. Byłoby znakomicie, prawda? Ze wszystkich dni w roku właśnie Boże Narodzenie jest najodpowiedniejsze do świętowania odrodzenia i narodzin, gdyż właśnie teraz zima zaczyna odchodzić, by ustąpić miejsca wiosnie. W Boże Narodzenie urodził się Jezus.

Miles pierwszy otworzył oczy. W jego uszach wciąż dźwięczały słowa Rose. Wstał z łóżka ostrożnie, żeby jej nie obudzić. We śnie odsunęli się nieco od siebie. Po raz pierwszy od ich spotkania w zamku Morton Milesowi przeszło przez myśl, że spokój na twarzy Rose jest wymowny - z takim obliczem nie wyglądała na osobę, gotową stawić czoło problemom świata.

Wciągnął koszulę nocną, leżącą tam, gdzie ją zostawił Blagg, podszedł do okna i lekko rozsunął zasłony. Na dworze świeciło słońce, z dachów budynków kapąła woda: najwyraźniej nadeszła odwilż. Przy odrobinie szczęścia mogli wyruszyć w podróż natychmiast po śniadaniu.

- Milesie... - Senny głos dobiegał z łóżka. - Bałam się, że mnie zostawiłeś.

Podszedł bliżej i usiadł na skraju pościela.

- Wykluczone. Po ostatniej nocy nie mógłbym cię zostawić.

- Chyba będziesz musiał. Co sobie pomyśli Jennie, kiedy przyjdzie mnie zbudzić i ujrzy, że leżysz w moim łóżku? Nie chcę jej szokować.

Miles zachichotał.

- Nie sędzę, by zachodziło takie niebezpieczeństwo. Muszę powiedzieć, że moim zdaniem ona i Blagg dzielili łóżce w zamku Morton, a zapewne i dziś w nocy. Ze słów Blagga wnioskuje, że wkrótce możemy się spodziewać dwóch ślubów.

- Tak czy owak, i tak powinieneś wyjść przed jej przybyciem. Ja zaś muszę zajrzeć do państwa Harshaw i sprawdzić, jak się miewa mama i dziecko. Póki co jednak, chciałabym ci coś wyznać. Myślałam o naszej przyszłości.

- Naprawdę, lady Heyward? A ja uważałem, że mocno śpisz.

- Obudziłeś mnie. Zachowywałeś się bardzo dyskretnie, ale i tak słyszałam, że wstajesz. Nagle w łóżku zrobiło się bardzo pusto. Zresztą nie w tym rzecz. Otóż przyszło mi do głowy, że skoro bierzemy ślub, nie musisz kupować posiadłości ziemskiej. Moje grunty są na tyle rozległe, że oboje możemy prowadzić eksperymenty: ja z roślinami uprawnymi, ty ze zwierzętami. Jeśli w przyszłości będziemy potrzebowali powiększyć areal, na pewno coś wymyślimy.

Miles pocałował ją delikatnie w usta. Miał ogromną ochotę ponownie się z nią kochać, lecz uznał, że nie minęło jeszcze wystarczająco dużo czasu od wczorajszej inicjacji.

- Jak widzę, mam niezwykle praktyczną żonę - oznajmił. - Nasze pieniądze są bezpieczne w twoich rękach, na pewno nie przepuścisz ich na suknie i kapelusze.

- Och, tego nie byłabym taka pewna. - Rose przekornie przekrzywiła głowę. - A teraz już naprawdę powinniśmy się zbierać. Włóż coś na siebie i przygotuj się do śniadania.

- Jeszcze jedno - powstrzymał ją Miles. - Rozumiem, że wyruszamy razem, jeśli tylko pogoda będzie nam sprzyjała. Chciałbym pojechać z tobą do twojego domu. Potem pośpieszę do Londynu, po oficjalne zezwolenie na zawarcie

związku małżeńskiego, a gdy wrócę, załatwię wszelkie formalności przed ślubem w twojej parafii. Niewykluczone, że będziemy musieli nieco opóźnić uroczystość ze względu na konieczność zaproszenia mojej matki i jej męża. Nikomu nie może przyjść do głowy, że bierzemy ślub potajemnie i w pośpiechu.

Rose przyszło do głowy, że te wieści zapewne ucieszą doktora Penrose'a, który nie krył swojego niepokoju o nią.

- Nie chcesz wracać do swojego domu w Londynie i tam wziąć ślubu?

- Mojego domu? - Miles pokręcił głową. - Od czasu ponownego zamążpójścia matki nie mam już domu, a tylko budynek, który równie dobrze mógłby stać pusty. Panna młoda powinna wychodzić za mąż tam, gdzie mieszka, a zresztą sama chcesz, byśmy zamieszkali u ciebie. Mój dom stoi w Londynie i nie chcę już w nim przebywać. Możemy zatrzymać się w nim sporadycznie, ale przede wszystkim pragnę być ziemianinem, tak jak ty chcesz być ziemianką. Prawda?

Rose wygrzebała się z pościeli i przystąpiła do kompletowania garderoby, którą porozrzucali po podłodze, gdy pospiesznie konsumowali nieoficjalnie zawarte małżeństwo.

- Takie mam plany. Nie przepadam za cuchnącym Londynem. Wieś to co innego.

Miles ponownie ją pocałował.

- Dzięki Bogu. Jak myślisz, czy zawsze będziemy zgodzali się ze sobą tak szczerze?

- Wątpię. Mam jednak nadzieję, że zostaniemy nie tylko kochankami, ale i przyjaciółmi.

- Dobrze powiedziane. Niech ta myśl nam przyświeca.

- Najdroższy Milesie, jest jeszcze jedna sprawa - zakomunikowała Rose, uśmiechając się łobuzersko. - Jeżeli

moje rzekome niestosowne prowadzenie się spowoduje wykluczenie nas z towarzystwa, z pewnością będziemy otoczeni przez prawdziwych przyjaciół, skorych do odwiedzin i nam życzliwych.

Miles ucałował przyszłą żonę.

- Najdroższa Rose, nie umartwiaj się na siłę. Oboje jesteśmy winni poważnych wykroczeń towarzyskich, więc możesz mieć pewność, że fałszywi przyjaciele, którzy życzą nam jak najgorzej, z pewnością również do nas przybędą, by się przekonać, jak źle nam się wiedzie.

- Wybornie! - wykrzyknęła Rose. - Widzę, że nasze przyszłe życie będzie obfitowało w dreszczyki emocji. A skoro już mowa o przyszłym życiu, czy nie powinniśmy czegoś zrobić dla naszych podopiecznych?

- Pomyślałem o tym i zaproponowałem panu Harshaw pracę. Powiada, że jest wykwalifikowanym kowalem, a na wsi zawsze takiego potrzeba. Skoro chcemy osiąść w Nottinghamshire, musimy skierować rodzinę Harshaw do twojego domu, gdy tylko matka i dziecko nabiorą sił przed podróżą.

Rose pocałowała Milesa.

- Doskonała myśl. Nie moglibyśmy tak po prostu zostawić ich tutaj, by sami sobie radzili. Rzeczywiście, kowal zawsze znajdzie zajęcie w gospodarstwie, więc panu Harshaw nie grozi bezczynność.

Rose ubrała się bez pomocy Jennie, chociaż na odzieży widniały ślady rozmaitych przejść z poprzedniego dnia.

- Do zobaczenia na śniadaniu - zakomunikował Miles, gdy rozstawali się na progu. - Potem będziemy się zbierali do wyjazdu. Pogoda chyba się zmieniła.

- Na lepsze. - Rose z uśmiechem musnęła Milesa ustami w policzek. Wiedziała, że już wkrótce nie będą musieli się

żegnać. Rozpoczną wspólne życie, by wspierać się i kochać.
Być ze sobą na dobre i złe.

Kiedy pełni radości i nadziei Rose i Miles wyruszyli w podróż do domu, który miał się stać ich wspólnym domem, stojący przed wiejskim kościołem kolednicy głosili chwałę bożą.